

# EILEEN COLLINS

## DZIEDZIC

Przełożyła Anna Zawadzka

### ROZDZIAŁ PIERWSZY

Warkot silnika rozdarł ciszę, płosząc zabląkane owce i brązowe bażanty.

Dziewczyna siedząca za kierownicą małego sportowego wozu odsunęła wilgotne kosmyki, które przyłgnęły do jej wysokiego czoła i uniósłszy okulary przeciwsłoneczne wsunęła je w jasne włosy. Dlaczego nikt jej nie powiedział, że w Szkocji na początku czerwca może być aż tak gorąco?

Upał sprawiał, że powietrze zdawało się drgać. Dziewczyna zmrużywszy zielone oczy, wpatrzyła się w zalaną słońcem drogę. "Czyżby jakiś człowiek? Boże, mam nadzieję, że tak" - westchnęła przyspieszając. Wydawało się jej, że wieki minęły od chwili, gdy ostatni raz widziała człowieka. Po chwili zorientowała się, że to mężczyzna. U jego boku szedł pies collie.

Stary człowiek usłyszawszy warkot silnika, zatrzymał się na skraju drogi i odwrócił w stronę nadjeżdżającego samochodu.

- Siad, Glen! Komuś bardzo się spieszy.

Opony zapiszczały i wóz zatrzymał się obok mężczyzny, wzniesając tuman kurzu. Dziewczyna wychyliła się ku staremu przez siedzenie pasażera.

- Czy mógłby mi pan pomóc? Szukam zamku Ravenscraig. Czy jadę we właściwym kierunku?

Stary zsunął tweedowy beret na tył głowy i przeczesał rzadkie siwe włosy.

- Tak. To dobra droga. Jakies cztery mile stąd trzeba skręcić w prawo. Zobacz panienka znak na poboczu.

Dziewczyna westchnęła z ulgą.

- Bogu dzięki. A już myślałam, że przejechałam krzyżówkę. Może pana podwieźć? - spytała, gdyż w zasięgu wzroku nie było żadnych zabudowań.

- Nie, dziękuję panience. Moja zagroda jest za tamtym wzgórzem. Czy zamierza panienka odwiedzić nowego dziedzica?

Dziewczyna uniosła brwi i przytaknęła.

- Owszem... Kirka Camerona. Zna go pan? Stary zignorował jej pytanie.

- Mówią, że jest Amerykaninem. Niewiele ma z nami wspólnego. Sądzę, że nie zamierza sprzedać majątku i zamku. Został on zbudowany przez Camerona pięć wieków temu i od tego czasu jego ród zawsze był na Ravenscraig. To kraj Cameronów, panienko. Dla nas byłby to straszliwy dzień, gdyby jakiś głupi młodzik zza Atlantyku miał zmienić stary porządek.

Zdziwiła ją pasja w głosie starego.

- Jestem pewna, że doktor Cameron zrobi to, co będzie najlepsze dla zamku i posiadłości.

- Ano, zobaczmy.

Wiedziała, że go nie przekonała. Spróbowała uśmiechnąć się krzepiać, a potem ruszyła w dalszą drogę. Uwagi starego sprawiły, że poczuła się winna. Wiedziała więcej niż ten mężczyzna lub ktokolwiek z miejscowych o tajemniczym doktorze Cameronie i losie, jaki gotował Ravenscraig.

Kiedy pan Cecil, starszy wspólnik firmy "Aukcje i Wyceny. Cecil i Masters", w której pracowała, zaproponował jej to zadanie, była zdziwiona i zaniepokojona.

Przebywanie poza Londynem przez cały tydzień było dla niej wielce niedogodne. Zwłaszcza że poprzedniego wieczora na przyjęciu poznała bardzo interesującego młodego człowieka. Byłby to wyjątkowo szczęśliwy traf, gdyby zapamiętał jej numer telefonu, na którym tak mu zależało.

Zazwyczaj zleceniami związanymi z wyjazdem na północ zajmował się pan Masters. Teraz jednak Masters był w Paryżu, a ekspertyza, którą mieli wykonać, wymagała wysokich kwalifikacji.

- Sary, jesteś w tym równie dobra jak Masters. Zdaje się, że w zamkowej kolekcji znajduje się parę wczesnoszkockich malowideł olejnych, może nawet natkniesz się na starego Alana Ransaya.

Marcus Cecil dobrze wiedział, jak przekonać najbardziej opornego pracownika. Orientował się, że tematem pracy dyplomowej Sary było osiemnastowieczne szkockie malarstwo portretowe.

- Ależ panie Cecil! Mam skatalogować i wycenić cały zamek? - Sara szeroko otworzyła zielone oczy. - Nigdy nie robiłam nic podobnego samodzielnie!

- Cóż, kochana, to może być wspaniały początek twojej kariery! Jestem przekonany, że dasz sobie radę. - W bładoniebieskich oczach pana Cecila pojawił się dziwny błysk. - Możesz lecieć samolotem do Edynburga i tam wynająć samochód na ostatnie sto pięćdziesiąt kilometrów albo też przewieźć swój wóz koleją do Stirling i dalsze sto kilometrów pokonać szosą.

- Dobry Boże, a gdzie to właściwie jest? - Myśl o utknięciu w opustoszałej górskiej dolinie w towarzystwie podstarzałego Amerykanina przyprawiła ją o dreszcze.

Marcus Cecil wyjął ze zgrabnej złotej papierośnicy tureckiego papierosa i włożył go do ust.

- Zamek Ravenscraig - powiedział przypalając papierosa - położony jest w Strathale, w dolinie Perthshire, która biegnie pomiędzy Bridge of Cally i Pitlochry. Mówią, że jest to bardzo piękne miejsce - rzekł marzycielskim tonem.

Sara uśmiechnęła się lekko i powiedziała:

- Mnie się wydaje, że będzie to najpiękniejszy rachunek, jaki wystawimy w tym roku.

Szef roześmiał się, patrząc na stos dokumentów leżących na biurku.

- Jeśli wszystko potoczy się tak, jak powinno, z pewnością tak się stanie. Odkąd doktor Cameron przybył do Szkocji, nie miałem jeszcze okazji z nim porozmawiać. Ale z tego, co mówili egzekutorzy testamentu, wynika, że w zamku znajduje się mnóstwo cennych przedmiotów. Zdaje się, że brat jego dziada był niezłą szyczą, skoro piwnice zamkowe są po sufit wypełnione zapewne cennymi przedmiotami, które przez dziesięciolecia nie widziały światła dziennego.

- Coś takiego! - Pokręciła głową Sara. Zadanie nie wyglądało na rutynową specyfikację. - Mówi pan, że ten doktor Cameron jest Amerykaninem?  
- Tak, nigdy dotąd nie był w Szkocji. Wykłada literaturę angielską na uniwersytecie kalifornijskim. Zapewne po tej przygodzie jego studenci otrzymają solidną porcję prozy Waltera Scotta.

Sara uśmiechnęła się.

- Skąd wniosek, że chce poznać wartość zamku i tego, co się w nim znajduje, aby go potem sprzedać? Może zamierza tam osiaść na stałe i zostać nowym dziedzicem?

- Wielkie nieba. Skądże! Z tego, co zdołałem się dowiedzieć, wynika, że chce się pozbyć zamku jak najszybciej. Wątpię nawet, czy chciałby spędzić tam więcej niż tydzień. Tyle powinno ci wystarczyć na oszacowanie zabytków i poczynienie koniecznych przygotowań do sprzedaży majątku.

Sara wolno przytaknęła. To jej odpowiadało. Nie zamierzała co prawda przebywać z dala od Londynu dłużej, niż to będzie konieczne. Ale może faktycznie okaże się, że praca będzie miała ogromne znaczenie dla jej przyszłej kariery. Przecież tak odpowiedzialne zadanie nie zdarza się co dzień dwudziestodwuletniej dziewczynie, która dopiero co ukończyła uniwersytet.

Od czasu, kiedy w zeszłym roku zatrudniono ją u Cecila i Mastersa, jej życie zmieniło się diametralnie. Sama nie mogła się jeszcze do tego przyzwyczaić. Czowała, że w głębi duszy jest tą samą nieśmiałą studentką, która pewnego ranka stanęła drżąc przed drzwiami Marcusa Cecila. Za to wszystko inne uległo zmianie.

Zrezygnowała z zabawnego szkolnego uczesania - koński ogon zastąpiły rozpuszczone blond włosy. Teraz, gdy samochód gładko sunął drogą wzbijając chmury pyłu, rozwiewał je wiatr. Bawełniana koszula i stare dzinsy, które nosiła jako studentka ustąpiły miejsca dobrze skrojonej garsonce z białego lnu. Sara zastanawiała się nawet, czy nie kupić nowych oprawek o wydłużonym ku górze, rogatym kształcie. Oczywiście, wszystko to miało przekonać tajemniczego doktora Camerona, że Sara jest osobą o wysokich kwalifikacjach. Jako osoba z natury rozsądna, zdawała sobie jednak sprawę, że może mieć tylko nadzieję, iż młodość i brak doświadczenia nie zostaną wykorzystane przeciwko niej.

Nagle wyrósł przed nią znak wskazujący drogę do Ravenscraig. Jej umysł był tak zaprzątnięty myślami o przyszłości, że omal go nie minęła. Z piskiem opon skręciła w prawo. Jeszcze sześć kilometrów i będzie na miejscu.

Droga zwięzła się i biegła teraz serpentyną w górę. Gęste świerkowe lasy pokrywające zbocza zasłoniły okolice, które Sara zostawiła za sobą. Dziewczyna rozglądała się wokół, a jej zielone oczy jaśniały z zachwytu. Tak, bezsprzecznie był to zupełnie inny świat niż ten, do którego przywykła. Nie widziała nic podobnego od chwili, gdy w średniej szkole pojechała z klasą na wycieczkę do Szwajcarii.

Już nie liczyła, ile razy musiała skręcić, by ominąć królika lub bażanta wyskakującego z nienacka na drogę. Wiedziała, że taka jazda jest niebezpieczna, że powinna jechać prosto przed siebie.

I nagle zobaczyła zamek. Pojawił się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, a ona poczuła dreszcz zachwytu. Ravenscraig wyrastał jak w bajkach Walta Disney'a

wprost ze skał na szczycie góry. Sara machinalnie nacisnęła hamulec. Samochód za-trzymał się na poboczu.

Do tej chwili Ravenscraig znaczyło dla niej tyle, co jedenaście literek wyciętych z szablonu i przyklejonych na czerwonej okładce skoroszytu, który leżał obok niej na przednim siedzeniu. Teraz zapało jej dech w piersiach. Oszalamiający - to było jedyne słowo, jakim mogła określić ten widok. Nawet przez przyciemnione szyby widziała, jak wysokie proste mury lśniły srebrzyście w promieniach popołudniowego słońca. Fantastyczna granitowa forteca widoczna na tle bezchmurnego popołudniowego nieba. Została zbudowana w XIV wieku za pieniądze pochodzące z posagu córki króla Roberta II poślubiającej Malcolma Camerona, drugiego syna wodza klanu Cameronów. Wyniosłe mury były świadkami burzliwej historii Szkocji. Szkocka królowa Maria i jej syn Jakub VI niejedną raz byli podejmowani w tych murach. W 1562 roku owa doświadczona przez historię królowa zwołała w głównej wieży Tajną Radę. Osiemnaście lat później zawitał tu jej syn, Jakub VI. Wówczas dobudowano nowe skrzydło. W połowie XVII wieku zajęły go oddziały Cromwella, a sześćdziesiąt lat później, w 1715, odegrał ważną rolę w powstaniu jakobinów. Jednak w pełni zamek rozkwitł dopiero pod koniec wieku XVIII, gdy sir Colin Cameron zmienił wystrój wnętrza i ogrodów tak, że dorównywały najpiękniejszym zamkom francuskim czy niemieckim. Colin Cameron, podróżnik i mąż stanu, obsadził aleje ogrodowe drzewami, co było w ówczesnej Szkocji rzadkością. Wybudował w ogrodzie murowany letni domek i łaźnię. A wszystko to dzięki miłości Camerona do wczesnego renesansu. Na kamiennych blokach wznoszą się posągi Cameronów, piękno ich rzeźbionych rysów naznaczyły surową powagą niezliczone srogie zimy szkockie. Lecz najwięcej wspomnień wywołuje postać wyrzeźbiona w skale tylnej ściany zamku. Płaskorzeźba przedstawia młodą kobietę. Jej prawa ręka jest zaciśnięta na sztylcie, a lewa osłania unoszącą się w ciężkim oddechu obficie krwawiącą pierś. Sir Colin Cameron nigdy się nie ożenił i nigdy nie zdradził, kim była ta młoda dama, ale jej duch jest wciąż obecny w owych komnatach. Potem zamek został przekazany Dawidowi, młodszemu bratu sir Colina Camerona. Po nim dziedziczyli Ravenscraig jego potomkowie w prostej linii, aż do prawującego obecnego właściciela.

Czy to możliwe, by ktoś odziedziczywszy całą spuściznę Cameronów, mógł pozostać obojętny na jej urok?

- Za jaką sumę sprzedasz swoje dziedzictwo, Kirku Cameronie? - wyszeptła Sara w pachnącą sosnami popołudniową ciszę. I wtedy przebiegł ją dreszcz - zdała sobie sprawę, że to ona będzie musiała udzielić odpowiedzi na to pytanie. Po to znalazła się tutaj, ponad osiemset kilometrów od domu, bardzo samotna i słaba.

Zegarek wskazywał już prawie piątą. W zamku powinni jej oczekiwać. Szybko przechyliła się przez przednie siedzenie, by wziąć torebkę. Spojrzała w lusterko. Twarz była nieco spocona, ale nie było na niej znamię zmęczenia. Ślady, jakie pozostawiła podróż, szybko zostały usunięte przy pomocy podręcznego zestawu do makijażu i koralowej kredki do ust.

Zapaliła silnik. Chwytną pokrytą skórą kierownicę, stwierdziła, że ma wilgotne dłonie. Dzień był gorący, naprawdę gorący. Lecz to nie upał, a nerwy były odpowiedzialne za drżenie jej szczupłych dłoni.

Po pół mili minęła bramę i pojechała dalej drogą wiodącą do zamku. Na szczytach obu filarów widniały kruki z rozpostartymi jak do lotu skrzydłami. W odpowiednim oświetleniu można by niemal uwierzyć, że to żywe ptaki gotują się do lotu.

Droga zmieniła się teraz w szeroki, wysypany żwirem podjazd i Sara zwolniła, starając się zobaczyć jak najwięcej przed dotarciem do samego zamku. Rozglądała się na wszystkie strony. Gładkie zielone trawniki rozciągały się na przestrzeni stu metrów od drogi, ścieląc się jak miękkie dywan u stóp potężnych sosen. Widać było, że dbano o to miejsce. Poprzedni właściciel nie szczędził mu troski i serca.

Co najmniej dwadzieścia okien frontowej ściany wychodziło na ogród. Gdy Sara wysiadła z samochodu i zaczęła wchodzić po głównych schodach, znów poczuła się mała i słaba. Zdawało jej się, że jest obserwowana z każdego okna.

Po prawej stronie drzwi znajdował się staroświecki uchwyt do dzwonka, wykonany z kutego żelaza. Używając obu rąk, dziewczyna mocno go pociągnęła. Przez grube dębowe drzwi usłyszała stłumiony dźwięk rozbrzmiewający w holu.

Gdy czekała, przestępując niecierpliwie z nogi na nogę, zaczęła rozglądać się z zaciekawieniem wokół siebie. Pomyślała, że to bardzo głupie tak się denerwować i przygryzła białymi zębami koralową wargę. Powinna być spokojna, powściągliwa i wyglądać na osobę godną zaufania.

Naraz drzwi otworzyły się cicho. Sara odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z najniższą starszą panią, jaką kiedykolwiek widziała. Chociaż Sara miała tylko metr sześćdziesiąt wzrostu, kobieta była niższa od niej o co najmniej trzydzieści centymetrów. Na jej małej, ptasiej twarzy malowało się pytanie. Sara odkaslnęła, nim przemówiła.

- Dzień dobry. Nazywam się Sara Phillips. Przysłała mnie firma Cecil i Masters w celu dokonania wyceny.

Kobieta cofnęła się i zaprosiła Sarę do środka.

Wnętrze zupełnie ją zaskoczyło. Uniosła okulary i rozejrzała się zdziwiona. Hol wyglądał jak fragment dekoracji filmowej. Sądziła dotychczas, że takie miejsca nie istnieją poza Hollywoodem. Olbrzymi korytarz był wyłożony kamiennymi płytami, na samym środku leżała brązowa niedźwiedzia skóra, a ściany oświetlone przez sześć wysoko umieszczonych okien pokryte były wspaniałymi okazami białej broni. Widok ciężkich dwuręcznych mieczy o płaskich, szerokich ostrzach sprawił, że Sara zadrżała lekko.

Daleko w głębi dojrzała wielki kominek. Nad paleniskiem wciąż tkwił oryginalny stary rożen i różne przybory kuchenne. W jej umyśle pojawiła się wizja pieczonego nad ogniem wołu. Nagle głos starszej kobiety przerwał panującą ciszę.

- Pani będzie łaskawa poczekać, doktor Cameron zaraz zejdzie.

Sara skinęła głową, a mała postać ruszyła w kierunku drzwi znajdujących się na prawo od kominka.

Wewnątrz zamku było znacznie chłodniej. Sara dotknęła swoich nagich ramion żalując, że nie zabrała z wozu żakietu. Pomyślała, że zdąży jeszcze pójść po niego,

nim nadejdzie Cameron. Wystukując swymi szpilkami rytmiczne staccato o kamienną posadzkę, ruszyła do wyjścia. Gdy była w połowie drogi, ktoś ją zawołał. Sara zatrzymała się i odwróciła niepewnie.

- Czyżby pani już nas opuszczała, panno Phillips? - wysoki, ciemnowłosy mężczyzna około trzydziestki stał w tych samych drzwiach, w których przedtem zniknęła gospodyni.

- Doktor... doktor Cameron?

Czarne brwi Sary uniosły się ze zdziwienia, a na jej koralowych wargach ukazał się uśmiech pełen zakłopotania. Mężczyzna podszedł do niej. Jego krok był swobodny, a w ciemnych oczach widać było rozbawienie. Uścisnął jej dłoń.

- Jestem Kirk Cameron. Mam nadzieję, że miała pani dobrą podróż.

- Tak... Dziękuję panu - wypowiedziała te słowa prawie automatycznie.

- Spodziewałem się kogoś starszego. - W jego wzroku dostrzegła niepokojący kpiarski błysk. .

- Znam się na swojej pracy, panie Cameron - powiedziała czując, że jej policzki zalewa rumieniec.

- Mów do mnie Kirk - powiedział, wciąż patrząc jej prosto w oczy - a ja będę nazywał cię Sara. W Stanach nie przejmujemy się tak konwenansami jak wy tutaj.

Policzki Sary poczerwieniały jeszcze bardziej.

- Nie... Nie mamy tego w zwyczaju - powiedziała niepewnie, zbита z tropu jego bezpretensjonalnością. - Ale jeśli pan sobie życzy...

Roześmiał się, a jego głęboki, silny głos sprawił, że poczuła się nie jak kobieta interesu, lecz nieśmiała, naiwna dziewczyna.

- Chodź, przygotuję drinka. - Objął ją ramieniem i poprowadził do drzwi w końcu holu. - Jestem pewny, że przyda ci się po takiej podróży.

Sara pozwoliła się prowadzić w kierunku drzwi, szepcząc coś pod nosem nieśmiało.

Czy tak to miało wyglądać? Zupełnie inaczej wyobrażała sobie pierwsze spotkanie z Kirkiem Cameronem, a jego samego również. Był co najmniej o dwadzieścia lat młodszy. Spodziewała się raczej kogoś w średnim wieku, ubranego w tweedowy garnitur, kto siedziałby wygodnie w fotelu, pykając dostojnie fajkę, podczas gdy ona objaśniałaby, jak cenne są jego obrazy i meble. Tymczasem Cameron okazał się starszy od niej najwyżej o dziesięć lat, a nobliwą tweedową marynarkę zastąpiły spłowiałe džinsy i biała podkoszulka.

Opuścili przestronny hol i weszli do wąskiego korytarza. Po obu stronach ciągnęły się rzędy drzwi. Mężczyzna wprowadził Sarę do małego przytulnego pomieszczenia urządzonego jak gabinet. Sara omiotła wzrokiem grzbiety książek stojących na półkach, a Kirk Cameron podszedł do stolika z alkoholami. Masz ochotę na odrobinę sherry?

Zanim dziewczyna zdążyła wyszeptać słowa przyzwolenia, nappełnił szklanki bursztynowym płynem.

- Pański wuj był chyba bibliofilem - zauważyła, gdy podawał jej drinka.

Cameron stał teraz niecały metr od niej, trzymając szklankę w prawej ręce.

Ignorując jej uwagę, wznosił toast.

- Saro, wypijmy za naszą współpracę, która będzie trwała przez następny tydzień, a może dłużej.

Toast i szczególnie sposób, w jaki wymówił jej imię, sprawił, że policzki ponownie zalał szkarłat.

W powietrzu unosił się delikatny zapach piżma. Z pewnością nie była to woda kolońska ze zwykłego sklepu z kosmetykami. Kirk Cameron ubierał się całkiem zwyczajnie, ale jego gustowi z pewnością nic nie można było zarzucić. Rozejrzała się po małym pokoju, szukając wygodnego miejsca do siedzenia. Bliskość tego mężczyzny sprawiła, że na jej czole pojawiły się kropelki potu.

- Może usiądziesz?

Znów dostrzegła w jego oczach kpiarski błysk i rozbawienie - doskonale wyczuwał jej niepewność.

Sara wybrała miejsce na środku obitej kretonem narożnej kanapy z obniżonym oparciem. Natychmiast pożałowała swojej decyzji. Utonęła w miękkich poduszkach, a jej biała spódnica prowokująco podniosła się ponad kolana. Wprawilo to dziewczynę w jeszcze większe zakłopotanie. Poprawiając delikatny materiał, widziała, jak Kirk Cameron z rozbawieniem obserwował całe zdarzenie, a cień uśmiechu błąkał się na jego ustach. Ciemne oczy z podziwem patrzyły na szczupłe, opalone nogi dziewczyny. Sara przestała walczyć z rąbkiem spódnicy, odstawiła szklanekę sherry na mały stolik i otoczyła wystawione na spojrzenia Kirka kolana splecionymi dłońmi. "Teraz na pewno pomyśli sobie, że jestem chodzącą pruderią" - pomyślała Sara z irytacją. Czy nie w tym dziwnym miejscu nie pójdzie po jej myśli? Cameron stał niecałe sześć stóp od niej, opierając się łokciem o dębowe płaskorzeźby wokół kominka. W drugiej ręce trzymał sherry. Lok ciemnych włosów opadł mu na czoło, mężczyzna odgarnął go niecierpliwym gestem. Sara nie mogła nie zauważyć gry mięśni pod opaloną skórą ramienia. Zirytowana obiektem swych rozmyślań natychmiast odwróciła wzrok.

- Wydaje mi się, że powinienem teraz zadać mnóstwo poważnych pytań, lecz uczciwie przyznaję, że nie wiem, od czego zacząć. Antyki i stare obrazy nie są moim konikiem.

- Wykłada pan na uniwersytecie, nieprawdaz? - rzuciła, pragnąc sprowadzić rozmowę na neutralny grunt, by uwolnić się od zakłopotania.

- Tak, rzeczywiście. W Katedrze Literatury Angielskiej. Nie każdy to lubi, ale mnie się podoba.

Sara pokiwała głową i uśmiechnęła się. Była całkiem pewna, że przynajmniej studentki traktowały przedmiot z wielkim entuzjazmem. Gdy ona była studentką, wykładowcy tak nie wyglądali.

- Rozumiem, że nie zamierza pan zatrzymać zamku? - uniosła pytająco brwi.

- Mój Boże, nie! - Niedowierzenie odbiło się na jego twarzy. - Mam dość wysoką pensję, ale ten zamek to luksus, bez którego mogę się obejść.

- Pan... Pan nie czuje żadnego przywiązania do tego miejsca? - głos Sary wyrażał zdziwienie. - Zawsze myślałam, że Amerykanie są bardzo dumni ze swoich europejskich korzeni.

Odrzucił głowę do tyłu, wybuchając niskim, gardłowym śmiechem.

- Dostało mi się. Nie mogę powiedzieć, że czuję podobnie. Szukanie swoich korzeni jest pasją wielu ludzi - lecz mogę panią zapewnić, że pozostaję obojętny na tego rodzaju sprawy.

- Przypuszczam, że jest to pańska pierwsza wizyta w Szkocji.

- I najprawdopodobniej ostatnia. Im szybciej załatwię wszystkie sprawy, tym lepiej. Po drugiej stronie Atlantyku czeka na mnie mnóstwo zajęć i nie chcę spędzić połowy życia na tej górze. Choć przyznaję, malowniczy stąd widok.

Sara spojrzała na niego w milczeniu. Nie bardzo mogła zrozumieć, że ktoś, kto wyklada literaturę angielską, mógł pozostać tak nieczuły na piękno Ravenscraig. Ściany tego miejsca zdawały się tętnić życiem ludzi, którzy przez tyle wieków przechadzali się po komnatach zamku. Jak człowiek może rozważać myśl o pozbyciu się dziedzictwa niezliczonych pokoleń? To niewiarygodne.

Rozejrzała się wokół, delikatna zmarszczka pojawiła się na jej czole. Nie chciała wyrażać opinii na ten temat, ale jednocześnie była pewna swoich racji. Uważała jednak, że w Ravenscraig nie powinna głośno wypowiadać swego zdania.

- Jeśli chcesz, możesz to nazwać szokiem kulturowym - jego głos przerwał ciszę. -

Sara, musisz mnie zrozumieć... Wiesz... powiedzieć, że czuję się w tym miejscu jak ryba wyjęta z wody, to chyba za mało. Dziewięćdziesiąt procent tego wszystkiego... - szerokim gestem ręki omiół wnętrze pokoju. - W żadnym miejscu, prócz muzeum, nie widziałem czegoś podobnego. A sam Ravenscraig... Mój Boże... Wygląda jak wyjęty z baśni braci Grimm, choć może byłby bardziej odpowiedni dla Waltera Scotta - uśmiechnął się. - Nie mam zresztą pojęcia, czego wymaga ode mnie zaszczytna pozycja dziedzica. Poinformowano mnie, że taki jest teraz mój tytuł. Dziewczyna wpatrywała się w dno szklaneczki.

- Szkoda - wyszeptala, a przed jej oczami stanęła wizja opalonego mężczyzny w szkockim stroju ludowym.

- Naprawdę? Dlaczego?

- Wspaniale wyglądałbyś w kilcie! - Była zdziwiona własną śmiałością, ale tym razem to on się zaczerwienił. Wyraźny rumieniec pojawił się pod złocistą opalenizną. Zaśmiał się, by pokryć zmieszanie.

- Czy mógłbym ci się z czegoś zwierzyć?

Sara spojrzała na niego ze zdziwieniem i kiwnęła twierdząco głową, z początku nawet zadowolona, że teraz on czuje się skrępowany.

- Parę dni temu spędziłem w zamku pierwszą noc. Oglądałem moje dziedzictwo, zaglądałem do wszystkich szaf i szuflad i już zaczynałem czuć puls Ravenscraig. Niespodziewanie natknąłem się na sypialnię wuja Donalda. W jego garderobie wisiał na wieszaku najwspanialszy strój szkockiego górala, jaki mogłabyś sobie wyobrazić. Oczywiście tartan Cameronów - materiał we wzorzystą kratę, kolory i wzór mojego klanu. - Rumieniec pogłębił się, gdy Kirk przypomniał sobie tę scenę. - Cóż, nie mogłem się oprzeć, by nie ubrać góry, i ku memu zdumieniu leżała jak ulał...

- I co, ubrałeś resztę...? - przerwała Sara. Jego ciemne oczy zabłyśły, gdy twierdząco skinął głową.

- Wszystko pasowało, nawet skeandhu na pończochach!



- Czy nawet to nie sprawiło, że poczułeś w swych żyłach krew Cameronów? - Sara potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

Odstawił pustą szklaneczkę na półkę nad kominkiem i patrzył na dłonie, chcąc uniknąć pytającego spojrzenia Sary.

- Cóż, postanowiłem zatrzymać strój i zdecydowałem, że reszta pójdzie pod młotek. Zrobiłem jeden mały wyjątek! - Spojrzał na nią i napotkał jej wzrok. Zaśmiali się oboje.

"Może w gruncie rzeczy nie jest aż tak zły" - pomyślała, sącząc ostatnie krople złotawego płynu.

Dwie puste szklaneczki stały się sygnałem do dalszego zwiedzania zamku.

- Musisz być zmęczona i na pewno głodna. Pokażę ci twój pokój. Możesz tam odpocząć, a za godzinę pani McGregor przygotuje posiłek.

- Chciałabym wziąć prysznic - powiedziała Sara, ocierając spocone czoło i próbując z wdziękiem podnieść się z niskiej kanapy.

Wyciągnął rękę w jej kierunku, by pomóc.

- Przykro mi, ale prysznic to jedno z tych nowoczesnych udogodnień, których stary wuj Donald nie zainstalował. Ale na twoim piętrze jest łazienka z wanną - to prawdziwy antyk.

- Jestem pewna, że to wystarczy - uśmiechnęła się Sara.

Jego oczy znalazły się niepokojąco blisko, gdy ująwszy dziewczynę za ramię, poprowadził w kierunku drzwi. Wychodzili już z gabinetu, a Sara wciąż jeszcze czuła ciepły, stanowczy chwyt jego dłoni.

Zeszli po jakichś schodach, potem wspięli się po następnych, by wreszcie dotrzeć do długiego korytarza.

- Twój pokój jest drugi po prawej stronie, a łazienka znajduje się na końcu korytarza. Możesz korzystać ze wszystkiego - ręczniki i mydło są do twojej dyspozycji. Jeżeli miałabyś jeszcze jakieś życzenia, pani McGregor na pewno ci pomoże.

Stali na korytarzu przed drzwiami jej pokoju. Kirk nacisnął klamkę. Znowu poczuła ten sam odurzający zapach. Drzwi otworzyły się głośno skrzypiąc. Zamarła. Na środku pokoju stało olbrzymie, wsparte na czterech kolumnach łóżko z baldachimem, podobne do tych, które podziwiała, dokonując wyceny dla Cecila i Mastersa. Miękkie zasłony z czerwonego aksamitu zwisały z rzeźbionej, dębowej ramy i dziewczyna poczuła płomień na policzkach, gdy spojrzała na mężczyznę stojącego u jej boku.

- Piękne, nieprawdaż?

Sara pokiwała głową, wciąż nie mogąc dojść do siebie. Kirk dotknął jej pleców i delikatnie pchnął do przodu.

- No, sprawdź, czy jest wygodne - uśmiechnął się szeroko, a ona stała przed łóżem, nie bardzo wiedząc co zrobić.

Podniosła rękę do płonących policzków i spróbowała się uśmiechnąć.

Szybkim, płynnym ruchem uniósł w ramionach jej ciało i delikatnie trzymał ponad grubą puchową kołdrą. Ich twarze były oddalone od siebie zaledwie o kilka centymetrów. Patrzył na nią, a jego uśmiechnięte usta były tak blisko jej warg.

W milczeniu pochylił się nad kołdrą i ułożył Sarę na gładkiej, satynowej materii. Długie blond włosy rozsypały się złotym wachlarzem wokół głowy spoczywającej na puchatej poduszce.

Przez chwilę stał, patrząc na leżącą dziewczynę. Uśmiech powoli zniknął z jego warg, a w oczach dostrzegła niepokojący żar. Gdy tak leżała na miękkich materacach, poczuła, że jej serce przestaje bić.

Czar prysł jednak szybko. Na twarzy Camerona znów pojawił się kpiący wyraz.

- Tak, jest stworzone dla ciebie - uśmiechnął się. Na jej twarzy odmalował się cień zawodu, zielone oczy były szeroko otwarte, a koralowe usta na wpół rozchyłone.

- Zobaczmy się na dole za godzinę. Będziemy jeść w małej jadalni za głównym holem.

Sara próbowała podnieść się z miękkiej pościeli, gdy on odwrócił się i podszedł do drzwi. Obrócił głowę, żeby jeszcze raz na nią spojrzeć. Leżała wsparta na łokciu, długi lok gruby blond włosów obsunął się z czoła, zasłaniając prawie pół twarzy, rozwarte usta wyglądały, jakby dziewczyna chciała coś powiedzieć, ale nie mogła znaleźć właściwego słowa.

- Tak, jest dla ciebie stworzone... - stwierdził, a jego oczy wyrażały znacznie więcej niż tych parę słów.

Patrzyła na dębowe drzwi cicho się za nim zamykające. Pod bluzką z cieniutkiego jedwabiu tłukło się jej serce. Gdy usiadła na łóżku, poprawiając zmierzwiłone włosy, poczuła delikatną wilgoć potu na całym ciele. Opuszczając dzisiejszego ranka Londyn, zupełnie inaczej wyobrażała sobie Ravenscraig i jego nowego właściciela.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Kirk Cameron miał rację twierdząc, że wanna jest antykiem. Było to prawdziwe monstrum. Sara pomimo swego zamiłowania do starych przedmiotów nie mogła jej nazwać inaczej niż szkaradą. Potwór stał na czterech wysokich nogach z kutego żelaza, zakończonych łapami o długich pazurach. Ponieważ wanna była wysoka na metr dwadzieścia, Sara nie mogła sobie wyobrazić, jak ludzie o posturze gospodyni radzili sobie z tym olbrzymem. Małeńka pani McGregor z pewnością potrzebowałaby krzesła, jeśli nie drabinki, aby dostać się do przepastnego wnętrza!

Leżąc na plecach pozwoliła, by ciepła woda zmyła pot i brud podróży z jej ciała.

Pomyślała, że pozory to nie wszystko. Mimo braku wygodnego w użyciu prysznica, Ravenscraig mogło zaofiarować prawdziwy luksus zanurzenia się po szyję w ciepłej, słodko pachnącej wodzie.

Jej myśli wciąż wracały do pierwszego spotkania z człowiekiem, który czekał teraz na nią na dole, amerykańskim klientem, jak mówił o nim pan Cecil. To zdarzenie powinno oduczyć ją ufania swoim wyobrażeniom. Wyruszając koleją z Olympii, była przekonana, że spędzi kilka nudnych dni w zapuszczonym zamczysku w towarzystwie równie nudnego i nadętego profesora, w dodatku Amerykanina. A co zastała w Ravenscraig? Nigdy nie nazwałaby Kirka Camerona nudziarzem. Był równie ekscytujący, jak pełen niespodzianek. Sara bardzo chciała, by jej szef, Marcus Cecil, mógł być z niej dumny. Postanowiła więc olśnić Camerona swymi

fachowymi umiejętnościami, nawet gdyby okazało się to nie takie łatwe, jak przypuszczała.

Kirk nie mówił, jak ma się ubrać do obiadu i Sara miała trudności z wyborem. W końcu zdecydowała się na prostą sukienkę z mieniącego się bladym błękitem jedwabiu. Suknia opinała ściśle jej piersi, a dekoltnik uwydatniał ich linię, nie pokazując ramion. Od wąskiej talii spływały ku ziemi fałdy szerokiej spódnicy. Gdy szła, materiał falował wokół zgrabnych jej nóg, odsłaniając łydki. Świeżo umyte włosy opadające kaskadą loków na ramiona lśniły złotem w słońcu późnego popołudnia. Nim wyszła z pokoju i zeszła na dół, raz jeszcze spojrzała w lustro.

Gdy schodziła, zauważyła małego, dziesięcioletniego może chłopca, który siedział na najniższym stopniu i patrzył na nią podejrzliwie. Zapytała o drogę do jadalni. Mały wyciągnął lepki palec z buzi, wskazał kierunek, po czym włożył z powrotem, próbując przemieścić coś wyjątkowo dużego i widocznie smacznego.

- To tamte drzwi, proszę pani.

Sara podziękowała i ruszyła we wskazanym kierunku. Drzwi były zamknięte. Czy powinna zapukać, czy może wejść zdecydowanie? Wybrała to drugie.

Widok, jaki ujrzała, zaskoczył ją całkowicie. Przez moment miała ochotę uciec. Cztery ciemne, kędzierzawe głowy odwróciły się w jej kierunku i cztery pary brązowych oczu zmierzyły ją od stóp do głów.

- No, wejdź, Saro! - Kirk Cameron wstał od stołu, odsuwając przy tym rzeźbione krzesło z drzewa orzechowego. - Chciałem przedstawić... - tu zastanowił się nad doбором odpowiedniego słowa - ... panią Dolores Rodrigues, jej siostrę Chiquitę i męża Chiquity, Raola Sancheza.

Oniemiała Sara wpatrywała się w twarze ludzi siedzących wokół stołu. Dlaczego sądziła, że Kirk jest tutaj sam? Rozczarowanie było wyraźnie widoczne na jej twarzy, gdy próbowała uśmiechnąć się do zgromadzonego towarzystwa.

Powód jej obecności na Ravenscraig był im dobrze znany, bo gdy Sara zajmowała swe miejsce przy stole, kobieta nazwana Chiquitą pochyliła się i poufale powiedziała:

- Gdy Kirk oznajmił nam, że przybędzie ekspert z Londynu, by dokonać wyceny, wyobrażaliśmy sobie, że to będzie ktoś szalenie poważny.

Sara zarumieniła się.

- Ja także potrafię wyglądać bardzo poważnie uczesana w kok i w okularach - powiedziała, próbując dostosować się do panującego nastroju.

- W to wątpię! - powiedział Raol, posyłając jej rozmarzone spojrzenie.

Żarty trwały jeszcze przez chwilę. Tylko Dolores nie przyłączyła się do ogólnych przekomarzań. Wolała milczeć, obserwując wszystko spod najciemniejszych, najdłuższych i najbardziej gęstych rzęs, jakie Sara kiedykolwiek widziała.

Niewątpliwie Kirk Cameron wpadł w jej sidła. Była naprawdę piękna. Jej lśniące czarne włosy opadały na złotobrązowe ramiona. Gdy przenosiła wzrok z jednej twarzy na drugą, jej oczy ocienione wspaniałymi rzęsami wydawały się prawie czarne. Różowy koniuszek języka pojawiał się często między rzędami śnieżnobiałych zębów, by zwilżyć pełne, wspaniale wykrojone zmysłowe usta. A spojrzenie zatrzymywało się najdłużej na twarzy mężczyzny siedzącego u jej boku.

Jej siostra Chiquita była nieco starsza i wyglądała na pulchniejszą, ale obie reprezentowały ten sam typ urody. "Coś jest w tych Chicano - kobietach, w żyłach których płynie krew amerykańska i meksykańska, coś co sprawia, że mężczyźni, a szczególnie jasnowłosi Europejczycy, tracą dla nich głowy" - pomyślała Sara z zamierającym sercem.

Raol Sanchez zdawał się być odmiennego zdania. Jego tęskne spojrzenie tonęło w zielonych oczach Sary. Rozmowa toczyła się dalej.

- Czy wie pani, ile pieniędzy mogłaby pani dostać w Los Angeles za tak piękne włosy, panno Phillips?

Sara popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

- Za włosy tak piękne jak pani... za tak doskonale złoto... co najmniej tysiąc dolarów! Ponieważ wyraz zdumienia nie zniknął z twarzy Sary, Kirk pospieszył z wyjaśnieniem:

- Raol jest właścicielem jednego z najlepszych salonów fryzjerskich w Los Angeles - poinformował ją. - Płaci hojnie za najlepsze włosy i zamienia je w peruki dla swoich bogatych i często łysawych klientów.

- Jesteśmy w stanie pozyskać każdy rodzaj czarnych włosów, zwykle od Azjatów - wyjaśnił Raol - ale za taki kolor, mama mia - cmoknął z zachwytem - zapłacilibyśmy majątek!

- Cóż, a więc wiem, dokąd mogę się udać, gdy nadejdą dla mnie ciężkie czasy - zaśmiała się Sara. Widać nie wypadła najgorzej w porównaniu z Dolores.

Posiłek trwał około dwóch godzin i Sara spędziła ten czas śledząc z zainteresowaniem tok rozmowy. Dowiedziała się, że Chiquita była przed paroma laty najlepszą studentką Kirka i że to ona właśnie przedstawiła swą młodszą siostrę przystojnemu profesorowi. Dolores, obecnie stewardesa Amerykańskich Linii Lotniczych, przyleciała z siostrą i szwagrem do Ravenscraig, by zobaczyć dziedzictwo Cameronów, zanim zostanie oddane pod młotek u Cecila i Mastersa. Dolores niewątpliwie była zakochana - jeśli nie rozkochana do szaleństwa w nowym Dziedzicu. Było w niej coś, co niepokoiło Sarę - w tych omdlewających ciemnych oczach pojawiał się czasem zimny, wyrachowany błysk. Parę razy odezwała się do Sary, by dowiedzieć się, ile wynosi cena któregoś z przedmiotów, które wyłowilo jej bystre spojrzenie podczas pobytu w Ravenscraig.

- Doprawdy, nie można dokonać wyceny bez dokładnego zbadania każdego przedmiotu z osobna - cierpliwie wyjaśniała Sara. - Bardzo wiele zależy od stanu, w jakim znajduje się wyceniany przedmiot, a także od jego historii.

- A co sądzisz o tym? - Dolores wyciągnęła szczupłą, opaloną dłoń nad stołem i niedbale zdjęła z palca złoty pierścionek. Pośrodku widniała rzeźbiona w złocie głowa kruka. Dziób i oko ptaka wykonane były z dwóch szmaragdów, najpiękniejszych, jakie Sara dotąd widziała. Ujęła drobny przedmiot w dwa palce, a Dolores ciągnęła dalej:

- To małe cacko ma swą historię, nieprawdaż, kochanie? - rzuciła płomienne spojrzenie w kierunku Kirka. - Czyż twój prapradziad nie otrzymał go od szkockiej królowej Marii za pomoc, której udzielił jej przeciwko królowej Anglii, Elżbiecie?

Kirk pokiwał twierdząco głową, podczas gdy Sara obracała pierścień w dłoniach, a klejnoty rzucały szmaragdowe błyski w świetle żyrandola wiszącego nad ich głowami.

- Jest piękny - westchnęła, oddając niechętnie pierścień właścicielce - ale niestety biżuteria nie jest moją specjalnością. By umieć wycenić coś takiego, trzeba się dodatkowo kształcić... Lecz niewątpliwie cena byłaby pięć- jeśli nie sześciocyfrowa. Raol gwizdnał przeciągle.

- Z taką sumką na palcu moja droga siostrzyczka będzie mogła rywalizować z Liz Taylor.

Oczy Dolores błyszcząły, gdy posyłała Kirkowi pocałunek. Wsunęła pierścionek z powrotem na palec. Gdy to robiła, Sara zmarszczyła lekko czoło. Coś się nie zgadzało - pierścień znalazł się na trzecim palcu prawej, a nie lewej, ręki. Lewa dłoń nie była niczym ozdobiona.

- Czy nie sądzi pani, panno Phillips, że jest to niezły podarunek losu dla biednej, małej Chicano urodzonej pod pechową gwiazdą? - Dolores odrzuciła w tył lśniąca włosy i przelknęła łyk napoju, obserwując Sarę spod gęstych rzęs.

Zanim Sara miała czas zastanowić się nad odpowiedzią, Chiquita rzuciła:

- Doi! Przestań. Nie zaczynaj znowu tych bezsensownych rozmów. - Popatrzyła na Sarę i westchnęła:

- Ponieważ pochodzimy z mało uprzywilejowanej grupy społecznej, moja siostra lubi udawać, że nasze dzieciństwo upłynęło w nędzy. Muszę to sprostować. Nasz ojciec był zamożnym adwokatem w Santa Monica.

Dolores najpierw wzniosła oczy ku górze, a potem spojrzała na szwagra, jakby prosząc o moralne wsparcie. Widać było, że już przerabiali razem ten temat. Raol ujął filiżankę za uszko i popatrzył na żonę.

- Sądzę, kochanie, że Dolores poruszyła ważną kwestię - powiedział powoli, wążąc każde słowo. - Wy, dzieciaki, miałyście szczęście jak cholera, w przeciwieństwie do innych, których biedni rodzice mówili tylko po hiszpańsku. Jaka ja, na przykład, miałem szansę otrzymania miejsca na uniwersytecie?

- Niewątpliwie ten problem wciąż go gryzł i gdy gorzki ton pojawił się w jego głosie, zakłopotana Sara spuściła wzrok.

- Powiedz mi, ile Chicano było na uniwersytecie, gdy ty grałaś rolę najlepszej studentki Kirka?

Chiquita wzruszyła ramionami i chłodno powiedziała:

- Nie mam pojęcia, ale bez wątpienia zaraz nas oświecisz w tej materii!

- Tylko trzystu - gorzko powiedział Raol. - Tylko trzystu na prawie trzydzieści tysięcy studentów. Czy pomyślałaś kiedykolwiek, jak niewielu z nich mieszkało w uniwersyteckich akademikach? - oparł się o krzesło i wpatrzył w żonę.

Chiquita zaczęła poprawiać makijaż, unikając jego wzroku. Na parę sekund zapadła kłopotliwa cisza. Jedyнным słyszalnym dźwiękiem było beztroskie j mruczenie Chiquity. Spokojnie nuąc jakąś melodię, wyjęła chusteczkę z torebki i zaczęła delikatnie osuszać wilgotne od szminki wargi. Odwróciła się do Sary.

- Kochanie - zaczęła - nie powinnaś przykładać wagi do tych rodzinnych... spraw. Wystarczy rzec, że mój drogi mąż przebył długą drogę w górę drabiny społecznej i

czasem ciąży mu myśl, że dzieci bogatszych Meksykanów mają łatwiejsze życie. Raol to ucieleśnienie amerykańskiego ideału biznesmena, nieprawdaż, kochany? - tu rzuciła w stronę męża spojrzenie pełne miłości. - Wszystko co ma, zawdzięcza tylko sobie. Jesteśmy z niego bardzo dumni!

Raol wzruszył ramionami i uśmiechnął się do żony z lekką irytacją. Temat został zdecydowanie, aczkolwiek grzecznie, zamknięty.

- Kirk, powiedz - rzucił Raol - jak się sprawiła drużyna Dogersów w niedzielę?

Kirk nie miał pełnych informacji i ku wielkiej uldze Sary rozmowa zeszła na inne tematy.

Napięta atmosfera panująca w małej jadalni przez ostatnie dwie godziny wyczerpała ją zupełnie. Gdy przysłuchiwała się nudnej, choć nierzadko wartkiej, rozmowie, próbowała wmówić sobie, że jej skrępowanie i pewna niezręczność spowodowane są długą podróżą. Być może była to wina temperamentu Latynoamerykanów, który nie pozwalał im na zbytne spoufalanie się z Anglosasami. Nie zastanawiając się dłużej nad przyczyną swojej niepewności, o dwudziestej drugiej przeprosiła gości i udała się do swej sypialni.

Gdy leżała już w łóżku, zdarzenia minionego dnia przepłynęły jej przed oczami.

Mimo iż bardzo starała się zasnąć, błogie odprężenie nie nadchodziło. Gdy zamykała powieki, widziała twarz mężczyzny o opalonej skórze, niepokojąco głębokich, ciemnych i nieprzeniknionych oczach. Powróciło to samo wrażenie, które opanowało ją, gdy wpatrywał się w nią, kładąc ją na łóżku. Serce Sary zabiło ostrzegawczo pod cienką satyną nocnej koszulki. Czy w taki sam sposób patrzył na Dolores, odwiedzając ją co noc w pałacowym łożu?

Sara przygryzła wargę, wyobraziwszy sobie scenę, która mogła dziać się tak blisko.

W przepysznym łożu z baldachimem leżał Kirk, niepomny niczego prócz zmysłowego ciała złotoskórej Dolores.

Prawie widziała długie, szczupłe palce o karmazy-nowych paznokciach, którymi Meksykanka pieściła ramiona mężczyzny. Jej pełne, pięknie wykrojone wargi delikatnie skubały miękką skórę w zagłębieniu między szyją a obojczykiem, a mały, różowy języczek, który tak często tego wieczoru zwilżał jej usta, badał najbardziej czule obszary, podczas gdy on leżał w oczekiwaniu na następną pieśczoć.

Obudziwszy się następnego ranka, odniosła wrażenie, że opuściła ją cała energia.

Wydarzenia poprzedniego wieczora wydały się jej niesamowitym i wspaniałym snem, z którego jeszcze sennie obudziła. Lecz gdy spojrzała na czerwoną okładkę plastikowej aktówki, natychmiast przypomniała sobie o prawdziwym celu wizyty w Ravenscraig. Co powiedziałby pan Cecil, gdyby wiedział, jakie myśli dręczyły ją od pierwszego spotkania z jego drogim amerykańskim klientem?

Gdy zeszła na dół, w jadalni zastała tylko Raola. Jego oczy zapłonęły na jej widok.

- Saro, wejdz, proszę - poderwał się szybko i przysunął jej krzesło. Sara podziękowała uśmiechem i usiadła. Biorąc naczynie z płatkami, wsypując je na talerz i dodając do nich mleko, czuła na sobie jego wzrok.

- Pozostali wolą jeść w łóżku - uśmiechnął się. - Dla mnie i dla Chiquity sen to największa przyjemność, ale tamci dwoje... kto wie, co teraz robią. - Mówiąc to, mrugnął porozumiewawczo w kierunku dziewczyny, która odpowiedziała

niepewnym uśmiechem. Miała niejasne przeczucie, że obecność tego mężczyzny zawdzięcza nie tyle jego nawykowi wczesnego wstawania, ile temu, iż miał nadzieję spotkać ją przy stole.

Następne minuty okazały się wielce krępujące. Oczy Raola wędrowały niezmordowanie za łyżką, którą Sara jadła płatki. Wciąż szeptał jej do ucha, opowiadał o wrażeniu, jakie wywarł na nim zamek wraz z okolicą. Raol mówił to takim tonem, że Sara wbiła oczy w talerz, starając się unikać spojrzenia mężczyzny. Skończywszy jeść, odsunęła talerz z ulgą.

- Czy miałabyś ochotę na filiżankę kawy? A może sok pomarańczowy? - Jego palce wolno powędrowały w górę jej nagiego przedramienia.

Dziewczyna zeszywniała. Nie była dziś w nastroju do flirtu, zwłaszcza z mężczyzną, którego żona spała parę metrów dalej. Pragnienie jednak zwyciężyło, nie wstała i nie wyszła, jak zamierzała. Odsunęła się parę centymetrów od jego rozbieganych palców i pożądliwie patrzących oczu. Wyciągnęła rękę ponad stołem, sięgając po dzbanek z sokiem pomarańczowym. Nalała sobie pół szklanki, przełknęła nieco i zwróciła oczy ku Raolowi.

- Czy zamierzacie zostać w Szkocji na dłużej?

Raol wyczuł jej chłodny ton. Rozparł się wygodnie na krześle, wyciągając z kieszeni na piersi paczkę papierosów. Wyjął jednego i zapalił przy pomocy małej, zgrabnej zapalniczki ze złota. Wolno wypuścił nosem dym.

- To zależy od Dolores.

Nie była przygotowana na taką odpowiedź. Uniosła brwi w nadziei, że usłyszy wyjaśnienie. I rzeczywiście.

- Po Dolores można się wszystkiego spodziewać, nigdy nie wiadomo, jak postąpi za chwilę. - Uniósł oczy i wzruszył ramionami. - Jeśli wszystko pójdzie po jej myśli, możemy być tutaj tydzień lub dwa. Jeśli nie - kto wie? Może wyjedziemy już jutro.

Sara pokiwała głową w zamyśleniu. Słowa Raola nie były dla niej zaskoczeniem. Dolores wyglądała na kobietę, która wszystko załatwia po swojemu. Postawiła pustą szklankę na stole i już miała wyjść, gdy drzwi się otworzyły.

- Cześć, Kirk - Raol uniósł opaloną dłoń w powitalnym geście. Kirk Cameron stanął w drzwiach, lecz nie wszedł do jadalni - jego ciemne oczy spoczęły na Sarze.

Odpowiedział Raolowi takim samym gestem.

- A, tutaj cię mamy... - powiedział do Sary. Jego uśmiech był bardzo swobodny.

Dziewczyna wstała, umyślnie unikając wzroku Kirka. Sięgnęła po plastikową aktówkę leżącą obok.

- Skąd zaczynamy? - zapytała, starając się, by ton jej głosu brzmiał jak najbardziej oficjalnie.

Kirk oplótł palcami łokieć Sary i poprowadził ją w kierunku głównego holu. Pchnął drzwi i wszedł do środka, a dziewczyna podążyła za nim.

Przeszli po wykładanej kamiennymi płytami podłodze i zatrzymali się w centrum pomieszczenia. Spojrzała na ścianę obwieszoną bronią. Zmarszczyła czoło. Samo opisanie tego zajmie co najmniej jeden dzień.

Nad rzeźbionym w orientalne desenie stołem wisiały dwie dubeltówki wykonane przez Dicksona z Edynburga, jednego z najlepszych szkockich rusznikarzy. Te dwa

metalowe przedmioty były warte przynajmniej dwa tysiące funtów. Na prawo od kominka wisiało, tworząc wzór gwiazdy, osiem garłaczy o lufach wykonanych z brązu, pochodzących z początku dziewiętnastego wieku. Sara przesunęła koniuszka-  
mi palców po gładkim metalu. Kolekcja była w doskonałym stanie, jeśli nie liczyć kilku małych wgnieceń w metalu i pęknięć przy końcu luf. Na ścianach wisiały jeszcze trzy podobne kompozycje. Do wartości przedmiotów należałoby dodać dziesięć tysięcy funtów za godny podziwu stan, w jakim znajdowała się broń.

Ponad rzeźbionym w dębie obramowaniem kominka wisiała para osiemnastowiecznych szabli oficerskich. Sara zbliżała broń do oczu, badając ją wnikliwie. Żyłki żelaza i mosiądzu otaczające rękojeść starte były przez częste używanie i czyszczenie. Klinga jednej szabli była lekko wygięta. W jakiej to krwawej bitwie oręż zyskał tę szlachetną skazę? Może to była Corzenna?

Na jednej ze ścian umieszczono za szkłem oprawny w ciemną dębową ramę pozółkły pergamin. Kirk patrzył w milczeniu, jak dziewczyna nachyla się, by odcyfrować wyblakłe pismo. Była to pochwała za waleczność wręczona kapitanowi Graporowi Cameronowi, siedemdziesiątemu dziesiątemu z Cameronów, który zasłużył się w bitwie o Fuentes d'Onoro w roku pańskim 1811. Podobne przedmioty i całe rzędy medali w zakurzonych szklanych gablotach potwierdzały, że Cameronowie nie byli zwyczajną rodziną. Odegrali ważną rolę w historii swojego kraju. Hol był swego rodzaju muzeum militarnej historii Brytanii.

Oczy Sary błyszczały, gdy wpatrywała się z zachwytem w postacie z portretów oprawnych w pozłacane ramy. Podobieństwo człowieka stojącego u jej boku do tych ludzi było niezaprzeczalne. Ta sama wysoka postać o szerokich ramionach, te same gęste, ciemne włosy - i co najbardziej uderzające - te same jasne, błyszczące oczy, które patrzyły na nią spod ciemnych, energicznie zarysowanych brwi. Te twarze były twarzą Kirka Camerona. Ta sama krew płynęła w ich żyłach.

Ze ściśniętym sercem Sara uświadomiła sobie nagle, że ona, tak obca temu miejscu, przybyła tu, by przeliczyć na monety wartość życia wielu pokoleń. Musi zamienić ludzką egzystencję na cyfry i całe zgromadzone tu bogactwo z trudem zdobytych zaszczytów za męstwo okazane w wielu bitwach może zostać rozproszone przez kaprys jakiegoś kolekcjonera po dalekich krańcach ziemi, z dala od tego zamku. Ta myśl była przerażająca.

- Broń nie interesuje cię zbyt, prawda? - spytał Kirk. Opacznie zrozumiał jej wahanie. Niepewność, którą zauważył, została zinterpretowana jako brak zainteresowania wystrojem holu. - Będziesz miała mnóstwo pracy - zwrócił się ze zrozumieniem do dziewczyny. - Jeśli nie chcesz zacząć tutaj, to może poszukamy gdzie indziej. Pokażę ci coś nowego!

Sara w milczeniu pokiwała głową, wciąż będąc pod wpływem przeżyć sprzed paru chwil. Nie chciała teraz nic mówić.

Kirk pomyślał trochę i twarz mu się rozjaśniła.

- Być może ta propozycja nie jest zbyt odpowiednia na taki piękny letni dzień, ale może chciałabyś przejrzeć stare skrzynie na strychu?

- To wspaniały pomysł - powiedziała, starając się wykrzesać z siebie iskrę zainteresowania. Wiedziała, że starał się, jak mógł, by poprawić jej nastrój.



- Dobrze, chodźmy więc!

Podążyła za idącym sprężystym krokiem mężczyzną. Przeszli przez hol i zaczęli wspinaczkę po krętych, kamiennych stopniach, które zdawały się nie mieć końca. Wreszcie dotarli do górnych pięter budynku. Na szczycie Sara zobaczyła drzwi wiodące do pierwszego pomieszczenia strychu. W powietrzu unosił się zapach starej pleśni.

Z początku trudno było rozróżnić poszczególne przedmioty. Przez okno wpadało niewiele światła i dlatego nie było zbyt dużo widać. Wszystko było pokryte warstwą kurzu spowijającą przedmioty poukładane w stosach i porzrzucone po całej podłodze.

- Ubrudziłeś się jak nieboskie stworzenie - zauważył, patrząc na jej brązową plisowaną spódniczkę i białą bluzkę.

- Cóż, powinnam dziś założyć džinsy i zwykłą bawełnianą koszulę, lecz nic takiego nie wzięłam ze sobą - zgodziła się.

- Bądź zawsze damą. - Powiedział te słowa z uśmiechem, a mimo to ją dotknęły. Czy tylko tak ją widział? - zastanowiła się.

Gdy otworzyła pierwszą skrzynię, z jej ust wyrwało się westchnienie zachwytu.

Przyglądając się zawartości kufra, stwierdziła, że we wnętrzu znajduje się sześć albumów fotograficznych oprawnych w bydlęcą skórę. Z trudem opanowując podniecenie, wyjęła je ostrożnie ze skrzyni i rozłożyła na podłodze.

Zapominając o wszystkim, otworzyła pierwszy z nich, potem drugi i następny, aż wszystkie sześć leżało przed nią.

- Cudowne... Wspaniałe... - szeptała w zapamiętaniu, odwracając strony. Dostojne wiktoriańskie twarze podbarwione sepia wpatrywały się w klęczącą dziewczynę.

- Czy zdaje pan sobie sprawę, że te albumy to mała fortuna, doktorze Cameron? - Wciąż nie mogła się przyzwyczaić do nazywania go po imieniu.

- Nie mówisz chyba poważnie! Szybko spojrzała w górę.

- Ależ tak. Zachowany w całości wczesno-wiktoriański album, taki jak ten, mógłby na aukcji osiągnąć sumę trzy lub czterocyfrową.

Nic nie odpowiedział. Stał przez parę minut, podziwiając delikatne rysy jej twarzy, na której malował się zachwyt i zaskoczenie. Przy oględzinach trzeciego albumu znów zwróciła wzrok ku górze i powiedziała do niego:

- Och, doktorze Cameron... to znaczy, Kirk... gotowa jestem przysiąc, że nie jest to praca zwykłego fotografa z przedmieścia. Jestem prawie pewna, że posiadasz albumy z dziełami Julii Margaret Cameron!

- Julia Margaret Cameron? - uniósł brwi. - A któż to taki? Czyżby jakaś zapomniana prapraciotka?

- Nie - stanowczo pokręciła głową. Po chwili, gdy brzmienie nazwiska dotarło do niej, poprawiła się: -No... być może... ale właściwie to nie ma znaczenia. Cała rzecz w tym, że jest ona uważana za największego fotografika-kobietę epoki wiktoriańskiej, a niewykluczone, że również wszechczasów! Te zdjęcia... Spójrz... To nie może być praca nikogo innego! Jestem niemal pewna. Chodź tutaj i zobacz.

Kucnął przy niej na zakurzonej podłodze, zadowolony, że jego pomysł odwiedzenia strychu okazał się tak szczęśliwy.

- Czyż nie dostrzegasz tego piękna - zawołała z entuzjazmem. - Popatrz tylko na te pary ustawione i oświetlone... - Wciąż nie mogąc się przyzwycząić do mówienia mu per "ty", westchnęła głęboko: - Och, doktorze Cameron, pomyśleć tylko, że wszystko należy do pana... Oni są pana przodkami.

- Przestań, Saro. Nie mów mi, że w twoim własnym domu lub przynajmniej w domu twych rodziców nie ma takich szpargałów. Każda brytyjska rodzina musi mieć szuflady pełne starych fotografii.

Sara zaprzeczyła.

- O nie, nie masz racji. Co najwyżej parę zwykłych zdjęć. Tylko bogatsze rody mają całe albumy, a bardzo niewiele posiada zdjęcia tej klasy. - Jej wzrok spoczął na wyrafinowanych kształtach ptaków i kwiatów, które zdobiły każdą stronę fotografii. W zachwycie pokręciła głową.

- A twoja własna rodzina? - spojrzał na nią badawczo. Głos dziewczyny załamał się nieco.

- Moja rodzina, niestety, nigdy nie miała pieniędzy na wydatki tego rodzaju. Dlatego tak ci zazdroszczę. Masz na tych kartkach całą rodzinną historię. - Spojrzała na niego błagalnie. - Jak możesz myśleć o sprzedaniu takich pamiątek... One są częścią ciebie, twoich nie narodzonych dzieci i wnuków. Wybuch Sary zaskoczył go. - Chwileczkę - uśmiechnął się. - Pamiętaj, że jesteś tutaj, by ułatwić mi sprzedaż. Twoja firma dostanie niezłą prowizję od tego wszystkiego - zatoczył ręką wokoło. Poczwała, jak krew nabiega jej do policzków i ku wielkiemu skrępowaniu duże łyzy zakręciły się w jej zielonych oczach.

- Doskonale o tym wiem - wyszeptwała - i dlatego nagle poczułam się tak okropnie. Pochylił się nad nią i objął ramieniem.

- Saro, kochanie, to ty czasem mnie zawstydzasz. Jeśli te rzeczy tak wiele dla ciebie znaczą, nic nie stoi na przeszkodzie, byś stała się ich właścicielką. Daję ci je w prezencie, są twoje.

Wyrwała się z jego objęć, jak gdyby oparzona słowami i dotykiem. - Nie, nie... Ty naprawdę nic nie rozumiesz! Ja ich nie chcę, one są twoje i nigdy nie powinny... nigdy nie mogą należeć do kogoś innego, obcego. Doprawdy, niczego nie dostrzegasz. Możesz zastąpić mebel meblem, obraz obrazem, ale swojej przeszłości niczym nie zdołasz zastąpić! - Gniew płonął w jej oczach, gdy patrzyła na niego, a jej dolna warga drżała jak od powstrzymanego płaczu. Dlaczego nie był w stanie zrozumieć?

- Saro, na miłość boską. To są tylko jakieś zdjęcia i w dodatku nieźle zakurzone. - Był zdezorientowany, zupełnie nie wiedział, jak zareagować. Miał na dzisiaj dość zapłakanych kobiet. Po tym jak Dolores zrobiła mu scenę z samego rana, nie miał już siły, by stawić czoła następnej.

- Czy wszyscy Amerykanie są takimi materialistami jak ty? - wybuchnęła.

- Jak śmiesz nazywać mnie materialistą?! Tym razem posunęłaś się za daleko. Do diabła, właśnie ofiarowałem ci te wszystkie śmieci. - Wiedział, że mówiąc w ten sposób trochę przesadził, lecz nie potrafił się opanować. - Gdy ty robiłaś maturę, ja już uczyłem studentów... - zachnął się gniewnie.

Spojrzała na niego spod wilgotnych rzęs. Oczy wciąż miała pełne łez, lecz jej dolną wargę wygiął pogardliwy grymas. Rozgniewany chwycił ją za ramię, wbijając palce w delikatne ciało. Poczowała przejmujący ból. Trzymał ją na wpół odwróconą, lekko przegiętą. Ich twarze dzieliło zaledwie parę centymetrów. Na chwilę bliskość i ciepło mężczyzny oszołomiły dziewczynę. Nie wpatrywała się już w jego gniewne oczy. Spoglądała na wargi. Poczowała, że jej usta rozchylają się do pocałunku. Nagle puścił jej ramię i otrząsnął się.

- Do licha! Do licha z tobą, panno Phillips! Nie jestem taki jak wasi wymuskani chłoptasie z Londynu. Jestem Amerykaninem, nasze wartości mogą być inne niż wasze, ale z tego jesteśmy dumni! Pamiętaj, wojna o niepodległość skończyła się dwieście lat temu! Myśmy ją wygrali! A może uczyli was o tym w twoim słynnym brytyjskim college'u?

Odwrócił się i wyszedł, zostawiając tylko czerwone ślady palców na delikatnym ramieniu. Łzy wolno spłynęły po jej policzkach. Wciąż słyszała jego ostre słowa i gwałtowne trzaśnięcie drzwi.

Wiedziała, że postąpiła wielce nierozsądnie. Kirk Cameron zadzwoni niechybnie do Marcusa Cecila, żeby donieść o jej zachowaniu. Wkrótce znajdzie się z powrotem w Londynie. Dzisiejszym zachowaniem zrujnowała wspaniałą zapowiadającą się karierę zawodową. Oceniano, że w Ravenscraig znajdują się przedmioty, które zostałyby sprzedane na aukcji za sumę ponad miliona funtów. Nie trzeba dużo liczyć, by się zorientować, że dziesięć procent należące się jej firmie za pośrednictwo wynosi sto tysięcy funtów. Bez wątplenia po wydarzeniach tego ranka pośrednictwo przejmie jakaś spółka rywalizująca z Marcusem i Cecilem i w ten sposób jej kariera skończy się, nim się zaczęła. Nawet gdyby dogoniła go i rzuciła się przed nim na kolana, nic by to nie pomogło. Przeprasiny nic by tu nie dały. Ten gniew, nawet nienawiść, które widziała w jego oczach, które słyszała w jego głosie, były zbyt autentyczne, by mogła marzyć, że jej przebaczy.

Wciąż nie była w stanie zrozumieć, dlaczego wybuchnęła płaczem. Oczywiście było, że wierzyła całym sercem w swoje słowa. Lecz przyczyna leżała głębiej. Sara długo się zastanawiała. Było coś w tym mężczyźnie, coś wielce niepokojącego, coś co pochłonęło jej uczucia i zmysły. W jego towarzystwie czuła się nieśmiała, niepewna. Westchnęła głęboko i jej ciało przeszył dreszcz. Otarła grzbietem ręki wilgotną od łez twarz, pozostawiając dwie brudne smugi na policzkach. "Łzy i kurz to niezbyt dobra kombinacja" - pomyślała i wróciła do kufrów. Dopóki jeszcze tu jest, powinna wykonywać swoją pracę. Może w ten sposób przynajmniej częściowo złagodzi swój nietakt.

Zaczęła przeglądać albumy. Przepelniający ją nieklamany podziw dla prac Julii Margaret Cameron pozwolił zapomnieć o niedawnych zdarzeniach. Gdy więc w końcu spojrzała na zegarek, zdziwiła się widząc, że wskazówka pokazuje dwunastą. Reszta towarzystwa pewnie od dawna siedzi przy stole.

Sara wstała z klęczek, bezskutecznie próbując otrzepać się z kurzu. Była lepka od brudu i czuła, że jest jej bardzo gorąco. Wiedziała, że nawet gdyby przebrała się do obiadu, nie byłaby w nastroju do wspólnego posiłku. Zatknęła długopis za

plastikową okładkę skoroszytu i przespacerowała się po strychu, chcąc pobudzić krążenie w zdrętwiałych nogach.

W skośnym dachu regularnie rozmieszczono świetliki, przez które widać było całą okolicę. W ramach tych małych, brudnych okienek tkwiły popękane szybki, gdzieniegdzie upstrzone ptasimi odchodami. Słońce, chociaż stało teraz wysoko na niebie, na próżno starało się dotrzeć do wnętrza pomieszczenia. Sara zmrużyła oczy i wpatrzyła się w horyzont. W oddali błękitne szczyty gór pięły się ku rozjaśnionemu niebu. Gęstwina ciemnej zieleni pod nimi ostro kontrastowała z oślepiającym blaskiem słońca. Wyglądało to jak jedna z mieniających się barwami widokówek, które tak lubiła oglądać jako dziecko. Lekkie spaczenie starego szkła sprawiło, że przy każdym ruchu obraz zmieniał kolory, wywołując ten sam magiczny efekt. Lecz najpiękniejsza była srebrzysta wstążka rzeki. Sara stała przy okienku, wpatrując się tęsknie w wodę, gdy tymczasem małe kropelki potu zbierały się na jej szyi i toczyły w dół pod cieniutki materiał bluzki.

Odłożyła skoroszyt i szybko opuściła strych. Gdy schodziła w dół po wąskich kamiennych stopniach, metalowe czubki szpilek wystukiwały regularny rytm odbijający się echem od ścian krętego korytarza. Pobiegła do wyjścia i prawie wyfrunęła na zewnątrz. Wciąż biegnąc, dotarła do głównej bramy. Oddech zaczął się rwać, a lekki ból ścisnął jej pierś, zmuszając do zwalniania co parę metrów. Za bramą od głównej drogi odchodziła wąska ścieżynka. Sara skręciła w nadziei, że dotrze do rzeki, która wyglądała tak kusząco z zamkowego strychu. Obcasy jej szpilek tonęły na parę centymetrów w suchych liściach, trawie i połamanych gałązkach.

" A niech to...!" - wymamrotała do siebie, gdy jakaś szczególnie ostra gałązka zraniła ją w kostkę. W rajstopach zrobiła się mała dziurka i natychmiast w górę łydki pobiegly oczka.

Las robił się rzadszy. Ścieżka obniżyła się nieco, prowadząc ku widocznemu już brzegowi rzeki. Nagle dziewczyna poczuła, że stapa po sprężystym torfie poznaczonym gdzieniegdzie suchymi łachami złotego piasku. Rozejrzała się wokół badawczo sprawdzając, czy nie ma tu nikogo prócz niej i jednym ruchem ściągnęła krępujące ją rajstopy i pantofle. Wolna... Chłodny powiew wiatru musnął jej nagie nogi i całe ciało zadrżało z zachwytu. Podskoczyła w górę jak szczęśliwy dzieciak i pobiegnęła dalej wzdłuż ścieżki.

Wysokie sosny ustąpiły miejsca mniejszym drzewom. Kępy głogu uginające się pod ciężarem białego kwiecica rosły po obu stronach wody sprawiając, że rzeka wyglądała jak oślepiająca struga bieli i srebra.

Okolo trzysta metrów dalej rzeka zakręcała i Sara ruszyła w tamtym kierunku pociągana magnetyzmem spokojnej, lśniącej powierzchni wody. Kulik zatoczył koło i wzbił się w niebo ponad jej głową. Jego krzyk zakłócił ciszę. Poczula się znów jak dziecko, dziecko, które znalazło czarowny, dziki, tajemniczy ogród, które może zagłębić się weń i zbadać wszystkie jego sekrety.

Zatoczka miała czterdzieści metrów szerokości i była ukształtowana prawie jak basen. Dziewczyna zanurzyła bosc stopy i pozwoliła chłodnej strudze obmywać kostki. Westchnęła z zachwytem. Wszystko było tu inne niż w świecie, który

zostawiła za sobą. Piękne, tajemnicze i niemalże nierealne. Unosząc brzeg spódnicy, brodziła dotykając wolną ręką srebrzystej powierzchni, aż weszła w wodę po kolana. Gdy szła wzdłuż piaszczystego brzegu, setki małych rybek uciekały między jej bosymi nogami i rozpiezchały się wśród lodyg przybrzeżnych trzcin. Słońce stało prawie nad jej głową, gdy poczuła, że na czole zbierają się małe kropelki potu. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio czuła się tak lepka od potu " Gdybym tylko wzięła z zamku strój kąpielowy" - pomyślała. Chłodna, srebrzysta toń stanowiła pokusę nie do odparcia.

- Czy mogę to zrobić...? - zapytała sama siebie, rozglądając się wokół i szukając śladów bytności innych ludzi. - Dlaczego nie...! - Była zupełnie sama, jeśli nie liczyć paru zabłąkanych pardw, które co jakiś czas wylatywały z głośnym trzepotem z pobliskich trzcin. Na lazurowym niebie zataczała pętle para jaskółek. Wydawało się, że w promieniu paru kilometrów nie ma ani jednej ludzkiej istoty.

W mgnieniu oka zrzuciła z siebie ubranie i wślizgnęła się bezszelestnie w błękitnozieloną toń. Rzeczywistość przewyższyła jej oczekiwania. Miała wrażenie, że stres i przeżyte dziś rano napięcie spływają z niej wraz z potem i brudem zmytym przez wodę. Leniwie przewróciła się na plecy, kosmyki jej włosów unosiły się na wodzie, tworząc wokół głowy złotą aureolę. Przymknęła oczy i pozwoliła, by ciepłe promienie słońca przeniknęły jej całe ciało unoszące się na powierzchni wody. Minęły dwie lub trzy minuty, zanim otworzyła oczy. Widok, jaki ujrziała sprawił, że jej ciało zeszywniało. Zanurzyła się gwałtownie pod powierzchnię, starając się ukryć swe zawstydzenie pod lśniącymi falami.

Stał na brzegu rzeki, niedaleko, niecałe dziesięć metrów od niej. Na moment, nim odwrócił się i odszedł, ich spojrzenia spotkały się.

- Kirk! - krzyknęła rozpaczliwie. Jej zielone, szeroko otwarte ze zdumienia oczy patrzyły za niknącą w dali między drzewami smukłą sylwetką.

Jak długo stał tu? Jej twarz płonęła ze wstydu na tę myśl. Czy widział, jak wybiegała z zamku i poszedł za nią, by ciągnąć dalej poranny spór? A może natknął się na nią przypadkiem? Te pytania były teraz bez znaczenia. Ukryła purpurową twarz w dłoniach, a małe kropelki wody spływały po jej nagiej skórze z powrotem do skrzęcej się promieniami słońca rzeki.

## ROZDZIAŁ TRZECI

- To cyna, prawda? Może wezmę parę tych naczyń ze sobą. Będą doskonale wyglądały w mojej norze.

Sara odwróciła się, prawie wypuszczając z dłoni kielich wykuty z szarego metalu.

- Doktor Cameron. Nie słyszałam, jak pan wchodził. - Wciąż nie mogła mówić do niego po imieniu. Słowo "Kirk" zwłaszcza teraz nie mogło przejść jej przez gardło. Uśmiechnął się do niej. Pamiętając wydarzenia tego ranka, zeszywniała z napięcia. Jego rozbrajający uśmiech rozluźnił ją jednak momentalnie.

- Sądzę, że nie powinienem nosić tutaj tenisówek. Zbyt łatwo podejść w nich niepostrzeżenie - wskazał na błękitne, pokryte piaskiem płócienne obuwie, które

miał na nogach. - Dostanę od pani McGregor za to, że naniosłem piasku na jej wypucowaną podłogę.

- Był pan dziś rano nad rzeką? - zapytała. Jej ton był chłodny, lecz w rzeczywistości wszystko w niej wrzało. Nie mogła mu spojrzeć w oczy od tego fatalnego momentu nad rzeką.

- Tak, postanowiłem zacząć dzień od spaceru, wczorajsze popołudnie i wieczór były przecież tak upalne.

Brwi dziewczyny powoli uniosły się. Wróciwszy poprzedniego dnia do zamku, zastanawiała się, gdzie wszyscy zniknęli. Była jednak zadowolona, ich nieobecność pozwoliła jej uniknąć spotkania z Cameronem po porannej sprzeczce.

- Zwiedzaliście okolicę? Pokiwał twierdząco głową.

- Dolores chciała zobaczyć Edynburg, w właściwie sklepy na ulicy Książęcej, więc wszyscy pojechaliśmy na wycieczkę do miasta i tak nam się spodobało, że zostaliśmy na noc w hotelu. Wróciliśmy dziś rano. - Mówiąc to patrzył na nią w szczególny sposób, tak jakby bardzo chciał zobaczyć jakąś reakcję na jej twarzy. - A ty... co ty robiłaś przez ten czas?

Skupiła wzrok na przedmiocie, który trzymała w dłoniach.

- Och, nic takiego. Skończyłam katalogowanie przedmiotów ze strychu. Zabrało mi to cały dzień i większość wieczoru.

Bardziej wyczuła, niż zobaczyła lekki uśmiech na jego twarzy, gdy przypomniał sobie poprzedni ranek. Jej policzki zaróżowiły się. Była pewna, że kiedy znów go ujrzy, kontrakt Camerona z firmą Cecil i Masters będzie dawno zerwany. Zapadła cisza. Sara obracała w rękach metalowy puchar, rozpaczliwie starając się znaleźć coś, co mogłoby przerwać panującą ciszę.

- Tak jak już mówiłem, podobają mi się niektóre z tych cynowych naczyń i może wezmę ze sobą parę z nich do domu. - Wyciągnął rękę i zdjął z półki jeden z kufli. i

- To nie cyna - powiedziała Sara czując, że jest to najbezpieczniejszy temat do rozmowy. - To rodzaj stopu, zwany metalem Britannia. Zawiera miedź i antymon. Został wyprodukowany około 1800 roku jako substytut srebra. Był znacznie tańszy przy wyrobieniu codziennych naczyń i sprzętów kuchennych niż prawdziwe srebro. Używany często przez pierwsze dwudziestopięćlecie ostatniego stulecia, potem stracił na znaczeniu.

Patrzył na nią, będąc wyraźnie pod wrażeniem jej erudycji.

- Jaka jest różnica między tym stopem a zwykłą cyną?

- Bardzo niewielka. Metal Britannia jest twardszy i bardziej wytrzymały, to wszystko. Jego najniezwyklejszą cechą jest bardzo niska temperatura topnienia. Nie spuszczał z niej wzroku, co sprawiało, że cisza, jaka znów zapanowała była jeszcze bardziej krępująca. Potem z nagłą wybuchnął śmiechem. Szczery, męski, gardłowy śmiech był niesamowicie zaraźliwy...

- Panno Phillips... to znaczy, Saro, właśnie podałaś dokładny opis pewnej osoby, która znajduje się blisko ciebie. Z wierzchu twardy, lecz o bardzo niskiej temperaturze topnienia.

Patrzył przez chwilę na kufel, który trzymał w ręku, a potem podniósł wzrok i napotkał jej spojrzenie.

- Wiesz, chciałbym się w ten sposób usprawiedliwić wczorajsze zachowanie. Jestem niesamowicie wybuchowy i przykro mi, że tak mnie poniosło. Przyznaję, mam gwałtowne usposobienie. Mógłbym za to winić tych wszystkich facetów - tu wskazał ręką rzędy portretów swych przodków, patrzących na nich z wysokich ścian. - Niezła z nich paczka, trzeba przyznać.

Zaśmiała się i pokiwała głową ze zrozumieniem. Kryzys minął i znów uśmiechali się do siebie. Była więcej niż wdzięczna za taki obrót sprawy. Chciała zostać w Ravenscraig i dokończyć to, co zaczęła. Przeszłość i teraźniejszość tego starego, zapuszczonego zamku stały się jej w ciągu tych dni bardzo bliskie.

Pracowała bez przerwy cały ranek. Była sama, chociaż czasem przychodził Kirk, zadawał parę pytań dotyczących jakiegoś przedmiotu i znikał, a czasem przychodził i patrzył, jak pracuje, starannie opisując poszczególne okazy i wkładając dokumentację do dużego skoroszytu. Jeśli miała jakieś wątpliwości, umieszczała na marginesie czerwoną gwiazdkę, by nie zapomnieć o sprawdzeniu ich w jednej z książek, które przywiozła ze sobą. Wiedziała, że Dolores i reszta opalają się na trawniku, przed zamkiem, lecz nie widziała nikogo z nich przed obiadem. Śmiech wchodzących odwrócił jej uwagę od francuskiej wazy, którą trzymała w dłoniach.

- Hej, Sara, jak się miewasz? - był to głos Raola. Właśnie wszedł do środka wraz z żoną i jej siostrą.

Cała trójka była w strojach kąpielowych, a ich złotawa skóra przybrała po porannym opalaniu jeszcze ciemniejszy odcień.

- Co sobie myśli ten potwór Kirk? Że zamknie cię tutaj samą na cały dzień razem ze swoimi śmieciami? Dolores, porozmawiaj z nim, to nie jest w porządku. - Oczy Raola zabłyśły, ujrawszy smukłą sylwetkę Sary podkreśloną opiętą sukienką z marszczoną bawełną. - Czy zabrałaś ze sobą kostium?

Podrapał się po kosmatej piersi, oparł o kredens i spojrzał na nią spod ciemnych rzęs. Wiedziała, że w myślach widzi ją już nagą.

- Raol, przestań! Saro, nie zwracaj na niego uwagi. On nie może znieść widoku ubranej kobiety. Zaraz by ją rozebrał.

Chiquita przeszła obok Raola, dała mu żartobliwego klapsa i skierowała się ku wyjściu. Jej bujne kształty, opięte jedynie skąpym bikini, falowały kusząco.

- Kochanie, jeśli porzucisz swą dostojną pozę przy kredensie, może ci coś skapnie, zanim dostaniesz obiad. - Mrugnęła do Sary i przesadnie zakołysała pełnymi biodrami. Odwróciła się, chcąc zobaczyć jaki efekt wywrze jej zaproszenie.

Raol wydał z siebie okrzyk radości i ruszył w podskokach za żoną.

- Miła, dziś jest twój szczęśliwy dzień - zawołał za niknącą w głębi kobietą.

Sara popatrzyła rozbawiona na parę niknącą na schodach wśród pokrzykiwań.

Wciąż się uśmiechała, gdy odwróciła się w stronę Dolores, sadowiącej się jak kotka na politurowanym blacie kredensu. Patrząc na Sarę, machała niedbale nogami, jakby chciała pokazać ich smukłość.

- Mój szwagier jest bardzo atrakcyjnym mężczyzną, ale czasami okropnie nudnym. - Odrzuciła pukle długich, gęstych, ciemnych włosów znad nagiego ramienia. - Mam wrażenie, że całe życie spędziłam opędzając się od jego nachalnych rąk i spojrzeń. Najzabawniejsze w tym wszystkim jest to, że gdybym to ja chciała go poderwać,

umarłaby z wrażenia. - I obdarzyła Sarę promiennym uśmiechem, poprawiając ramiączko bikini. - Myślę, że Kirk jest bardziej w twoim typie.

Sara spojrzała na nią zdziwiona.

- Doprawdy? A na jakiej podstawie tak sądzisz? Uśmiech Dolores w żadnej sytuacji nie tracił blasku.

- Och, na niczym, to tylko kobieca intuicja. - Podniosła z mebla osiemnastowieczny pistolet i oglądając obróciła go parę razy między palcami o szkarłatnych paznokciach.

- Ile jest wart? - padło krótkie pytanie.

Sara spojrzała na bron.

- Około pięciuset funtów - odpowiedziała automatycznie. Jej umysł wciąż był zaprzątnięty poprzednią uwagą.

Dolores umieściła pistolet z powrotem w futerale i zgrabnie ześlizgnęła się z mebla.

- Cóż, lepiej zejść na dół i zobaczę, co przygotowała dla nas pani McGregor. No, to na razie.

Sara zdecydowanym ruchem zamknęła aktówkę i odeszła. W ich krótkiej rozmowie było coś, co sprawiło, że poczuła się szczególnie niepewnie. Tak, jakby każda uwaga Meksykanki niosła ze sobą ukrytą treść. Czyżby chciała ją przed czymś ostrzec, zagrozić? Sara z niedowierzaniem pokręciła głową. Dlaczego? Z jej prezencją, której mogłaby pozazdrościć nawet Miss Ameryki? Ciało Dolores posiadało niezrównaną kocią gibkość, poruszała się z taką gracją, jaką można osiągnąć tylko po długich latach ćwiczeń.

Sara odprowadziła wzrokiem oddalającą się postać. Jeszcze raz promienie słońca zaślnęły na jej długich jedwabistych włosach, opadających swobodnie aż do pasa.

"To oczywiście - pomyślała Sara - że jej włosy bez trudu wabią mężczyzn, takich jak Kirk lub Raol". Spojrzała na swą prostą sukienkę i zdenerwowała się. Dlaczego krótka rozmowa zaniepokoiła ją aż do tego stopnia, że zaczęła się porównywać z tą amerykańską dziewczyną? Lecz po chwili powróciła myślą do tego samego tematu. Nie codziennie mężczyzna ma okazję spotkania takiej dzikiej, zmysłowej urody.

Znów poczuła wściekłość, tym razem na myśl, że tym mężczyzną jest Kirk. Podczas obiadu rozmowa rozkręcała się powoli, w miarę jak przybywało na stole wina ze skromnej piwniczki wuja Donalda. Wycieczka do Edynburga niewątpliwie zrobiła na wszystkich wrażenie. Szczególnie ożywiona była Dolores, gdy z wielką satysfakcją popisywała się przed Sarą nowym zakupem - bransoletką ze złota z kompletem kamieni w srebrnej filigranowej oprawie.

- Piękne, nieprawdaz? - Jej smukły nadgarstek obrócił się, a klejnoty zamigotały przed oczyma Sary. - Nie mogłam się zdecydować czy wybrać to, czy słodki naszyjnik z pereł. Więc pozwoliłam wybrać Kirkowi. - Rzuciła w kierunku Camerona powłóczyście spojrzenie.

- Tak, Dolores, to był doskonały pomysł - Raol zdążył już wysłuchać tej historii kilka razy. Wzniósł oczy ku górze i powiedział zmęczonym głosem. - Kupił ci jedno i drugie. Oczy wszystkich zwróciły się na Kirka, który zaczerwienił się pod ciemną opalenizną. Spojrzał na Dolores z wyraźną irytacją.

- Kochanie, dość już na ten temat. Dolores nadała się i wyszeptwała do Sary:



- Kirk to słodki kociak... Kupiłby mi cały sklep, gdybym powiedziała jedno słowo, ale nie chce, byś o tym wiedziała.

W tym momencie weszła pani McGregor, wniosła półmisek świeżej sałatki owocowej i szczęśliwie uwolniła Sarę od obowiązku odpowiedzi. Sara skrzywiła się, wyobraziwszy sobie Kirka potulnie wyciągającego portfel za każdym razem, gdy ciemne oczy Dolores zabłysły na widok klejnotu. Nie dawała wiary słowom Meksykanki. W ciągu dwóch dni spędzonych w Ravenscraig poznała tego mężczyznę na tyle, by wiedzieć, że nie jest on zwykłym naiwniakiem, a jeśli jej spostrzeżenia były trafne, cała scena została wyreżyserowana przez Dolores. Czy ona naprawdę uważa Sarę za rywalkę, która powinna być świadoma wielkiego przywiązania i oddania Kirka dla Dolores? Jeśli łączyło ich tak wielkie uczucie, jak sugerowała Dolores, to coś w ich stosunkach nie było w porządku.

- Co byście powiedzieli na małą wycieczkę nad morze dziś po południu? Jest zbyt gorąco, by zostać w domu, a ja mam ochotę popływać - głos Kirka przerwał jej rozmyślenia. Towarzystwo przy stole zaakceptowało pomysł.

Sara milczała, świadoma tego, że przebywa w Ravenscraig służbowo i nie ma prawa brać udziału w rozrywkach.

- Ty, Saro, też pojedziesz z nami - zdecydowanym tonem oznajmił Kirk.

Zaskoczona podniosła wzrok. Jego oczy błysnęły figlarnie, napotkawszy jej spojrzenie.

- Nie spraw mi zawodu. Nie mógłbym się dobrze bawić wiedząc, że utknęłaś w starych szpargałach wuja Donalda.

- No cóż... - Sara niepewnie wpatrywała się we wzór na obrusie.

Piękna twarz Dolores była nieporuszona. Wyciągnęła rękę po dzbanek, cały czas unikając oczu Sary i naląła do szklanki przezroczystego płynu. Chiquita i Raol patrzyli na Sarę wyczekująco.

- No cóż, sądzę, że uda mi się wyrwać na dzisiejszy wieczór. To bardzo miło z waszej strony... dziękuję.

- Wspaniale - Kirk energicznie wstał od stołu. - Wyjeżdżamy o drugiej.

Ponieważ druga się już zbliżała, zostało niewiele czasu na pakowanie. Sara wrzuciła do torby bikini i ręcznik, a potem zeszła do holu. Klara, koleżanka, z którą Sara dzieliła mieszkanie w dzielnicy Shepherd Bush, okazała się na tyle przewidująca, że zmusiła Sarę do zabrania kostiumu kąpielowego. Sara uważała to za całkiem niepotrzebne. Kiedy zeszła, wszyscy już czekali usadowieni wygodnie w dwóch identycznych samochodach, które zostały wynajęte specjalnie na czas ich pobytu w Szkocji. Sary nie bawiła rola przyzwoitki Kirka i Dolores, więc z radością przyjęła zaproszenie Chiquity i Raola, wsiadając do ich wozu.

- Stąd, kochanie, możesz nami kierować - powiedział Raol, odwracając się i wręczając siedzącej z tyłu Sarze mapę wybrzeża Sane.

Wąska, kręta droga prowadząca przez dolinę nie pozwalała nawet na chwilę odpoczynku. Był cały czas skoncentrowany na prowadzeniu. Osobliwy zwyczaj Brytyjczyków, polegający na przedkładaniu ręcznej skrzyni biegów nad automatyczną, niesamowicie go irytował.

- Wejdiesz czy nie, ty sukinsynu! - wykrzykiwał za każdym razem, gdy jakiś paskudny zakręt lub bardzo strome wzniesienie zmuszały go do manipulowania dźwignią biegów.

Wszyscy odetchnęli z ulgą, kiedy pół godziny później znaleźli się na stosunkowo prostej i dość szerokiej szosie łączącej miasteczko Coupar Angus z wielkim portem morskim Dundee. Docierając do obrzeży miasta, ujrzeni w dali lśniące błękitem ujście rzeki Tay. Ruch na drodze był teraz większy i chwilami tracili z oczu samochód Kirka i Dolores. Sara westchnęła z ulgą, gdy w końcu skręcili na drogę szybkiego ruchu prowadzącą do wybrzeża. Gdy dotarli do promu w Bronghty, ich oczom ukazały się rzędy kołyszących się na wodzie kolorowych małych jachtów. Ponad małym portem, jak szary kamienny strażnik strzegący cypla i miasta przed intruzami, górował stary zamek. Wartownia stała tu już pięćset lat, od czasu gdy Jerzy IV Earl Angus otrzymał od króla Jakuba II pozwolenie na wzniesienie fortecy na tej wspaniałej skale, znanej jako Partencraig.

Kirk wjechał na skraj białej piaszczystej plaży, a Raol zatrzymał się za nim.

- Dzięki Bogu! - wyrzucił z siebie z ulgą. Spojrzał triumfalnie na Chiquitę. Kobieta przechylała się i ucałowała jego wilgotną skroń.

- Dzielnie się dziś spisaleś, kochanie! - powiedziała.

Gdy otworzyli drzwi samochodu, owiała ich lekka bryza znad Morza Północnego.

Przez chwilę rozpierali się wygodnie na siedzeniach, wzdychając z ulgą.

Kirk i Dolores wysiedli już z samochodu i wyjmowali torby plażowe.

- No, w drogę! Nie pozwolimy im dotrzeć przed nami na brzeg - rzucił Raol wysiadając z wozu, rozkładając ramiona i przeciągając się. - Cóż za wspaniały dzień!  
- powiedział w zachwycie. Ściągnął koszulkę i rzucił ją na siedzenie. - Nie będzie mi potrzebna.

Na plaży było już kilku wczasowiczów i jakieś miejscowe parki spacerujące z psami tuż nad wodą. Sara ucieszyła się, że nie jest tu tak tłoczno, jak bywa na podobnych plażach południowego wybrzeża o tej porze roku. Kirk pierwszy znalazł się na brzegu, rzucił ręcznik i kąpielówki w miejscu ocienionym murem bulwaru. Pozostali dołączyli do niego po paru sekundach i z rozkoszą padli na ciepły piach.

- Nie wiem, co wy na to, dziewczyny, ale ja ruszam do tej wspaniałej wody, żeby się trochę ochłodzić. A ty, Raol, co o tym sądzisz? - Mówiąc to, Kirk owinał się dużym ręcznikiem kąpielowym w białe i niebieskie pasy.

Sara taktownie odwróciła wzrok, gdy beżowe spodnie płócienne, a po chwili także slipy opadły u jego nóg.

- O...! - Chiquita pochyliła się i przesunęła ręką po łydce mężczyzny. - Popatrzcie na te mięśnie i powiedzcie mi, kto był najlepszy w drużynie futbolowej w college'u? - Wszyscy się roześmiali, łącznie z Kirkiem, który żartobliwie opędał się od wędrujących dość wysoko pod ręcznikiem rąk Chiquity.

Czuli się ze sobą swobodnie i Sara zazdrościła im tego. Stała niedaleko Kirka i w każdej chwili mógł się do niej odezwać. Ta możliwość sprawiała, że czuła się skrępowana i zażenowana. Była cała spięta. Bała się, że się zaczerwieni, jeśli jego spojrzenie spocznie na niej dłużej niż sekundę. Obserwowała go, gdy biegł ku wodzie z Raolem depczącym mu po piętach. Meksykanin był równie pięknie opalony, lecz

miał już trzydzieści pięć lat i jego ciało zaczynało tracić młodzieńczy wdzięk. Kirk przeciwnie, wciąż miał smukłą i proporcjonalną sylwetkę atlety. Chyba rzeczywiście był kiedyś mistrzem college'u. Dolores zauważyła spojrzenie Sary i nie mogła się powstrzymać, by nie rzucić ironicznie:

- Nieźle jak na podtatusiałego, starego profesora literatury, co?

- Oni... Oni są bardzo atrakcyjni - odpowiedziała Sara patrząc, jak zniknęli w wodzie.

Ton Dolores był swobodny, lecz bez wątpienia jej słowa znów miały jakiś podtekst. Jakby chcąc to podkreślić, wspięła się na palce i posłała Kirkowi pocałunek. Zanim zniknął w spienionej fali, pomachał jej w odpowiedzi.

- Tak, wygląda całkiem sympatycznie - Chiquita mocowała się z bikini, próbując włożyć kostium na krągłe biodra i jednocześnie osłonić się ręcznikiem. - Nie wiem jak wy, dziewczęta, ale ja też idę popływać.

- Rób, co chcesz, duża siostró, mnie jest tutaj całkiem dobrze - Dolores wyciągnęła się na swoim ręczniku i zamknęła oczy. - Obudź mnie, kiedy już będziecie mieli dosyć pławienia się w wodzie.

Sara również założyła swoje bikini. Potem spojrzała na wyciągniętą na piasku Dolores i ruszyła ku morzu. Co prawda wolałaby pierwsze pół godziny spędzić na plaży opalając się, lecz zostanie tu sam na sam z Dolores, było mało kuszące. Raol i Chiquita zanurzeni po pas bawili się rozbryzgując wodę. Sara zawahała się. Nie wiedziała czy zanurzyć się od razu, czy stopniowo, brodziła po płytkich zagłębieniach z wodą, które zostawił po sobie odpływ. Decyzję podjął za nią Kirk, który pojawił się niespodziewanie. Sara widziała tylko jego głowę unoszącą się na falach w odległości paru metrów. Wynurzył ramię z wody i wykonał zachęcający gest - Sara, chodź tutaj, jest cudownie. - Szeroki uśmiech rozjaśnił jego twarz, ukazując białe zęby ostro kontrastujące z ciemną opalenizną.

Woda była tak zimna, że idąc mimowolnie wstrzymała oddech. Jej ciało pokryło się gęsią skórką. Fale obmywały jej uda coraz wyżej, aż dotarły do poziomu majteczek. Sara objęła się ramionami, by powstrzymać drżenie. Wiedziała, że cały czas ją obserwował, nie chciała wypaść źle. Nabrała głęboko powietrza, zamknęła oczy i rzuciła się w błękitnozieloną toń. Zaczęła płynąć szybko crawllem, by się rozgrzać.

- Brawo, panno Phillips, jest pani odważna! - Głowa i ramiona Kirka pojawiły się po jej prawej stronie. - Nie miałem pojęcia, że potrafisz tak dobrze pływać.

Sara stanęła, wyprostowała się i przyglądała wilgotne włosy. Woda spływała jej po ramionach. Myślami powróciła do wczorajszego ranka nad rzeką w Ravenscraig.

- Doktorze Cameron, czyżby sądził pan, że potrafię się tylko unosić na wodzie? - zapytała niewinnie. I niemal natychmiast poczuła, że jej policzki płoną.

Spuścił wzrok i przez tę jedną chwilę poczuła, że ma nad nim przewagę, zawstydzając go swoją śmiałością.

- Co byś powiedziała na mały wyścig do tej skały z zamkiem? - spytał, unikając odpowiedzi na pytanie.

- Zgoda.

Ciemne zręby fortecy wynurzały się z wody około pięćset metrów dalej. Była pewna, że dopłynie.

- Ja popłynę pierwszy, a ty za mną - krzyknął do niej zanurzając się.

Podążyła jego śladem. Morze było o wiele bardziej wzburzone, niż oczekiwała i musiała wyteńczyć siły, by pokonać fale.

Zanim jeszcze przepłynęli połowę dystansu, zaczęła słabnąć w zastraszającym tempie, lecz nie chciała się do tego przyznać nawet przed sobą. Z każdym ruchem jej nogi stawały się coraz cięższe, a ramiona bolały przy każdym wyrzucie. Widziała, jak Kirk coraz bardziej się od niej oddala, nieświadomy tego, co się z nią dzieje. Nie było sensu zawracać - do brzegu było teraz równie daleko - ale jej mięśnie słabły coraz bardziej.

By im ulżyć, zaczęła płynąć zabką, lecz był to zbyt wielki wysiłek dla zmęczonych nóg. Nie miała wyboru. Nawet nie mogła odwrócić się na plecy, by odpocząć, bo fale zmieniły kierunek i mogły wynieść ją na otwarte morze. W oddali widziała Kirka wspinającego się na skały, który nie zauważył, co się z nią stało. Chciała krzyknąć do niego, że nie może dać sobie rady, ale nie miała już siły.

Zapadła się w wodę, nie mogła dłużej utrzymać się na powierzchni. Usta pełne były słonej wody. Próbowana unieść prawą rękę w nadziei, że Kirk dostrzeże, co się dzieje, lecz ten ruch pograżył ją jeszcze głębiej w morskiej toni. W panice uderzała pod wodą nogami, chcąc utrzymać się na powierzchni.

Szła na dno i nic nie mogło jej pomóc. Poczwała, jak owija ją szczelnie czarna zasłona. Jeszcze gama kolorów błysnęła w jej umyśle. Czy to już koniec?

Nagle ktoś ją zaczął wyciągać ze wzburzonej toni. Mocne męskie ramiona unosiły ją, trzymając nad poziomem wody. Poczwała, że znów zaczyna walczyć, jej ręce i nogi rzuciły się bezradnie.

- Spokojnie, Saro! Jestem przy tobie! - krzyknął jej do ucha Kirk.

Holował ją w kierunku skalnego występu. Gdy wciągnął ją na śliską półkę skalną, jej stopy otarły się do krwi o szorstką powierzchnię granitu, lecz nie czuła już bólu.

Ułożył ją ostrożnie na porośniętej trawą skale i usiadł, delikatnie trzymając jej głowę na swoich kolanach. Była w pełni świadoma, lecz zbyt zmęczona, by mówić. Zdołała jednak przywołać na usta cień uśmiechu, gdy popatrzył na nią troskliwie swymi ciemnymi oczyma. Delikatnie pogładził dłonią jej mokre włosy.

- Dziękuję - wyszeptała.

- Nic nie mów - powiedział miękko, a jego głos wciąż drżał ze zmęczenia. -

Odpoczywaj. Staraj się odzyskać siły.

Leżała, czując ciepło jego nagiej skóry. Gdy położył jej rękę na ramieniu, a drugą zaczął rozcierać jej skroń, zamknęła oczy. Jego palce usuwały napięcie i strach ubiegłych minut. Po pewnym czasie otworzyła oczy. Wciąż pochylał się nad nią, a jego ciemne włosy zwisały w wilgotnych kosmykach nad wysokim czołem. Jego oczy, głębsze i ciemniejsze niż zwykle, uchwyciły jej spojrzenie.

- Już myślałem, że będę się musiał uciec do metody usta-usta... - Kpina w jego słowach przeczyła pełnemu niepokoju spojrzeniu. Jej serce zabiło szybciej i delikatny uśmiech rozjaśnił jej twarz. Powoli uniosła się na łokciu, tak że ich głowy dzieliło tylko parę centymetrów.

- Zawdzięczam ci życie - powiedziała bardzo cicho. - Nie mogę ci odmówić tak małej nagrody.

Pochylił się nad nią, jej ręce objęły szerokie ramiona i szyję Kirka, a ich usta przylgnęły do siebie. Jego wargi były miękkie i ciepłe, tylko słony smak przypominał o niedawnym zającu. Delikatnie przyciągnął ją do siebie, aż smukłe, prawie nagie ciało przylgnęło do niego. Gładził palcami jej kark i przytulał, coraz mocniej i mocniej.

Nigdy dotąd nikt nie całował jej tak namiętnie. Ociągając się, pozwalała mu na to. Gdy ich wargi się rozdzieliły, a ucisk palców na ramieniu zelżał nieco, cudowność chwili została brutalnie przerwana.

- Ty sukinsynu! - płócienny sandałek na wysokim obcasie zakreślił łuk w powietrzu i wylądował na głowie Kirka. - Nie umkniesz mi! - Głos Dolores zamienił się w pisk, kiedy zaczęła ku nim biec.

Kirk podniósł się, pozostawiając Sarę wciąż leżącą na trawie. Jego przyjaciółeczka ściągnęła z nogi drugi but i wysłała go w ślad za poprzednim. Tym razem chybiła. Sandał wyleciał wysoko w górę i spadł do wody.

- Sukinsyn! - rzuciła się na niego, wbijając mu w bark paznokcie. Gracja i wdzięk, z jakim się poruszała zmieniły się w dzikość rozwścieczonej kotki. Drapała, kopała i pluła na mężczyznę, którego dawniej zdawała się kochać. - Ty draniu...! Przywozisz mnie do tego zapomnianego przez Boga kraju i zdradzasz przy pierwszej nadarzającej się okazji!

Sara wstrzymała oddech ujrawszy, jak popchnięty Kirk balansuje na krawędzi skalnej półki, próbując obronić się przed atakiem. Był bardzo silny, lecz nie chciał zrobić krzywdy wymachując rękami kobiecie.

- Kirk, uważaj! - krzyknęła Sara widząc, jak bosa stopa mężczyzny osuwa się po śliskiej powierzchni.

Zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa, Kirk szerokim zamachem ramienia posłał rozszoszczoną Dolores wprost na sprężysty torf.

Leżała tam przeszywając go spojrzeniem, gdy obok ukazali się Raol i Chiquita mozolnie wspinający się na klif.

- Do licha, co się tu dzieje? - przerwał niezręczną ciszę Raol.

- Jego o to spytaj - wysyczała Dolores, wciąż patrząc na Kirka. - Na chwilę spuściłam go z oczu i co potem widzę?! Tego drania i ją - tu rzuciła wściekle spojrzenie w kierunku Sary - migdałowych się na klifie. A gdy się tu wreszcie dostałam, właśnie ją całował! - tu podniosła głos i wstała. - I to wcale nie ot tak sobie. Całował ją tak, jakby chciał się dowiedzieć, co takiego ta mała ma w środku! Ty sukinsynu! - znowu rzuciła się Kirka, ale Raol w porę ją powstrzymał.

- Spokojnie, kochanie, na pewno można wyjaśnić tę sytuację - Raol spojrzał z nadzieją na Kirka, a potem na Sarę.

Kirk odwrócił się ze wstrętem i spojrzał na morze.

- Nie muszę się nikomu tłumaczyć, nawet jej - popatrzył na Dolores, która wciąż walczyła z mocnym uściskiem szwagra.

- Ja wyjaśnię - zabrzmiał nagle głos Sary. Dziewczyna właśnie wstała z trawy i ścierała krew i piasek z obolałych nóg.

- Powinnaś się wstydić swojego postępowania - powiedziała spokojnie, odwracając się do Dolores. - O mały włos nie utonąłam i gdyby nie szybka pomoc Kirka, nie

byłoby mnie teraz z wami. Nie migdaliliśmy się na skale, jak to obrzydliwie nazwałaś. Po prostu wracałam do siebie po ciężkim przeżyciu.

- Tak, tak, wracałaś do sił - wyrzuciła z siebie Dolores. - A to, co widziałam, to pewnie pierwsza pomoc metodą usta-usta - splunęła na ziemię. - Pluję na ciebie, na ciebie też! Kłamcy! - wykrzywiła szyderczo usta. - Raol, zabierz mnie do domu! Nie chcę spędzić z nim ani chwili dłużej. Judasz!

Kirk spojrział na nią zimnym, obojętnym wzrokiem.

- Dolores, jesteś wyjątkowo głupia. Zawsze się zbyt podniecałaś, gdy coś nie szło po twojej myśli. Za dużo w tobie egzaltacji. Raol, zabierz ją, jeśli tego naprawdę chce. Ale ostrzegam cię, Dolores, nie oczekuj, że pobiegnę za tobą jak pies z podkulonym ogonem. Pamiętaj, ten pierścionek nosisz na prawej ręce, nie na lewej. Nie jestem twoją własnością!

Krzycząc ze złości, Dolores wyrwała rękę z mocnego chwytu Raola. Ściągnęła z palca złoty pierścień z głową kruka i rzuciła nim w Kirka. Szmaragdy zamigotały spadając na zieloną murawę u stóp mężczyzny.

- Teraz wiesz, co myślę o tobie i twoim drogocennym pierścionku! Możecie iść do diabła! - krzyczała i zbiegła w dół porośniętego trawą klifu na plażę.

Sara patrzyła bezradnie, jak Chiquita ruszyła stromym zboczem za siostrą. Czuła się winna. Raol popatrzył na Kirka, który schylił się, by podnieść klejnot z ziemi.

- Zaraz się uspokoi. Takie sceny przeżywamy przynajmniej raz na dwa tygodnie. - powiedział zmęczonym tonem Cameron.

- Tak, łatwo w to uwierzyć - westchnął Raol. - Ale co mam zrobić, gdy będzie chciała wrócić z powrotem do zamku? Chiquita nie da mi żyć, jeśli jej tam nie zawiozę!

- Dobrze, idź już lepiej - głos Kirka nabrał matowego brzmienia. - Wygląda na to, że zmarnowaliśmy ten dzień, nie ma sensu dłużej tu zostawać.

Milcząc wpatrywał się w pierścień. Wsunął go do kieszonki kąpielówek, odwrócił się i spojrział jeszcze raz na horyzont.

## **ROZDZIAŁ CZWARTY**

Po odejściu trójki Meksykanów Sara poczuła się okropnie. Próbowała przeproszać Kirka czując, że z jej winy doszło do awantury. On zaś przeciwnie, udawał, że nic się nie stało. Aby poprawić nastrój, zaprosił nawet Sarę do jednej z małych rybackich tawern, których było mnóstwo na obrzeżach portu. Nie mieli ochoty najedzenie, lecz mimo to po wyjściu z knajpki poczuli się znacznie lepiej. W drodze do domu Kirk próbował rozładować napięcie, opowiadając parę zabawnych anegdot, jednak z wyjątkiem krótkich chwil odprężenia, myśli dziewczyny wciąż wracały do zajścia na klifie. Obawiała się, że po powrocie do zamku będzie zmuszona stawić czoła Dolores.

- To dziwne... Raol zaparkował chyba z tyłu - powiedział Kirk, przyglądając się pustemu podjazdowi, gdy zajeżdżali przed frontowe wejście.

Wysiedli z samochodu. Sara podążyła za Kirkiem po kamiennych stopniach prowadzących do głównych drzwi. Gdy tylko weszli do holu, zaniepokojona pani McGregor wybiegła im na spotkanie.

- Och, doktorze Cameron, to potworne, straszne! Jak to dobrze, że pan już wrócił. - Załamała ręce, na jej twarzy malowało się cierpienie.

- Co się tu dzieje? - Kirk rzucił spojrzenie na stojącą za nim Sarę, która patrzyła z napięciem na starą kobietę.

- To straszne, straszne! - wystraszona gospodyni powtarzała te słowa, spoglądając raz na jedno, raz na drugie.

- Pani McGregor - powiedział cierpliwie Cameron. - Proszę mi wszystko dokładnie opowiedzieć.

- Wnuczku, wnuczku! Czy już im powiedziałaś? Czy już to widzieli?

Mały chłopiec podbiegł do nich i pociągnął babcię za rękaw.

- Kuba! - malec dostał klapsa i schował się w fałdach spódnicy babci.

- Doktorze Cameron, to panna Rodrigues. Och, to zbyt straszne, by było prawdziwe. Te piękne, kochane rzeczy! Niech pan lepiej pójdzie i sam zobaczy!

Bez dalszych ceregieli mała procesja prowadzona przez panią McGregor ruszyła szybko w górę schodów, aż do pokoju, który zajmował Kirk wraz z Dolores.

- Niech pan otworzy drzwi. Ja nie mogę znieść tego widoku - powiedziała gospodyni, przepuszczając Kirka.

Pchnięte przez Kirka dębowe drzwi otworzyły się. Sara wstrzymała z wrażenia oddech. Na środku pokoju leżał stos porcelanowych skorup. Wyglądało to tak, jakby każdy możliwy do zbitcia przedmiot został stłuczony. Szczątki dwóch bajecznie kolorowych japońskich dzbanów z okresu Satscuna leżały obok tego, co zostało z mintońskiej dwuuchwytowej wazy z pokrywą. Flakon w kształcie jaja z biało-błękitnego jaspisu leżał na brzegu chińskiego kilimu, do którego dotoczył się, rozlewając po drodze resztki zawartości. Próbowano nawet zbić zdobny w motywy roślinne wiktoriański dzban na wodę i miednicę. Te przedmioty leżały teraz na ziemi obok marmurowej umywalki.

Patrząc na dokonane zniszczenia, Kirk z wrażenia zagwizdał. Weszli za nim do pokoju bez słowa. Patrzyli, jak zamyślony przechadza się po pobojowisku, podnosząc czasem jakieś skorupy, próbując złożyć je razem i uśmiechając się ponuro.

- Przynajmniej masz jeden pokój mniej do skatalogowania - powiedział.

Potrząsnęła głową zbyt przestraszona, by cokolwiek wykrztusić,

- Kiedy ta... ta rzeź miała miejsce? - zapytał gospodynię.

- Dobrze dwie godziny temu, proszę pana. To musiało się stać zaraz po ich powrocie znad morza. Ale odkryłam to dopiero, gdy wyjechali.

- Wyjechali? - Kirk uniósł zdumiony brwi.

- Tak, proszę pana, wszyscy troje. Jakaś godzinę temu.

- Czy mówili dokąd? - jego głos był teraz ostry jak brzytwa.

- Z powrotem do Ameryki, jak sądzę. Była wielka kłótnia, proszę pana, krzyki i trzaskanie drzwiami, ale wydaje się, że to panna Rodrigues postawiła na swoim.

Pani Sanchez płakała, a pan Sanchez przyszedł i przeproszał. Powiedział, że zadzwoni do pana z lotniska w sprawie tego bałaganu i wyjaśni, dlaczego wyjechali tak nagle.

- Do licha, do licha! - Kirk podniósł z toaletki resztki srebrnego lusterka, zgiął uchwyt i rzucił je na stos piętrzący się na środku pokoju. - Teraz potrzebuję mocnego

drinka - zwrócił się do Sary, wciąż stojącej w milczeniu przy wielkim łożu. -  
Chodźmy stąd! Muszę wszystko dokładnie przemyśleć.

Odwracając się w kierunku gospodyni, powiedział:

- To wszystko, pani McGregor, dziękuję. Jest mi bardzo przykro z powodu tego, co  
zdarzyło się dziś po południu. Musiała się pani bardzo zdenerwować. Przepraszam  
za zachowanie moich gości.

- Och, proszę pana, to nie byli państwo Sanchez, oni byli bardzo uprzejmi. Też  
wielce się zmartwili. To panna Rodrigues jest odpowiedzialna za zniszczenia, ona to  
zrobiła. - Wyglądało tak, jakby gospodyni chciała podkreślić ten fakt

- Cóż, więc przepraszam za zachowanie panny Rodrigues. - powiedział Kirk przez  
zaciśnięte wargi. - To wszystko, dziękuję.

Obserwowali, jak stara kobieta i chłopiec znikają w korytarzu.

- Suka - wycedził przez zęby Kirk. - Wredna, mała suka. Teraz chyba jest  
zadowolona. Dopięła swego. -

Usiadł ciężko na pikowanej kołdrze czterokolumnowego łoża i ukrył twarz w  
dłoniach. - Po dzisiejszych zajściach chyba przestałaś uważać nas za ludzi cywi-  
lizowanych - powiedział, próbując lekko się uśmiechnąć.

Sara bezradnie wzruszyła ramionami, nie bardzo wiedząc jak zareagować. Czowała, że  
nie na miejscu byłoby potępienie zachowania Dolores, choć uważała je za  
odrażające, a milczenie oznaczało, iż ją rozumie. Spojrzała na Kirka i spróbowała  
uśmiechnąć się ze współczuciem.

- Pogrzebię trochę w tych śmieciach i zobaczę, czy da się coś uratować. Może nie jest  
tak źle, jak wygląda.

- Nie dzisiaj - powiedział stanowczo, wstając z łóżka. - Spokojnie możemy poczekać z  
tym do jutra. Dziś wieczorem zapraszam cię do restauracji i niech diabli wezmą  
wszystkie antyki, przynajmniej na parę godzin.

Sary nie trzeba było długo namawiać. Po zdjęciu przepoconego ubrania i  
odświeżającej kąpieli z ulgą opuścili Ravenscraig, zostawiając zamek i jego pro-  
blemy. Najbliżej leżała wioska Kirkmichael będąca w dawnych czasach punktem, w  
którym zbiegały się główne trakty wiodące z północy. Dziś straciła na znaczeniu i  
była już tylko malowniczym dodatkiem do bajecznej scenerii Strathardle.

- To miejsce poleciła mi pani McGregor - powiedział Kirk, gdy skręcali z głównej  
szosy na wąską, krętą drogę prowadzącą w górę przez sosnowy las.

Dotarli do hotelu Chalet. Był to budynek w stylu skandynawskim. Jego proste,  
czyste linie doskonale harmonizowały z błękitnymi szczytami gór widocznych na tle  
nieba i porośniętymi sosną wzgórzami. Hotel sprawiał wrażenie przytulnego.

Pomyślała, że Kirk dobrze wybrał miejsce na spokojny wieczorny posiłek. Podczas  
gdy kelnerka podawała pierwsze danie - pasztet z dziczyzny, Sara obserwowała  
przez wielkie okno krajobraz. Było tu mnóstwo przestrzeni. Jeśli ktoś chciałby uciec  
od ludzi, mógłby iść tymi zboczami porośniętymi odwiecznym lasem całe kilometry i  
nie spotkać żywej duszy. Czas wydawał się tu nie istnieć. Nigdy nie odczuła tego tak  
wyraźnie jak w Szkocji. Londyn z całą swą bieganiną zmuszał do wiecznego  
spoglądania na zegarek.

Obawiając się spojrzeć na Kirka, zajęła się pasztetem.



- Jeśli potrawy serwowane w tej restauracji są równie wspaniałe jak otaczający nas krajobraz, wówczas to, co jest na moim talerzu, musi być przepyszne - uśmiechnęła się i wzięła do ręki sztućce.

- Tutaj rzeczywiście jest bardzo pięknie. Sądzę, że mógłbym nawet polubić takie życie - zgodził się z nią Cameron, próbując pierwszego dania.

- Więc mógłbyś raz jeszcze rozważyć sprawę sprzedaży? - brwi Sary uniosły się wyczekująco.

- W żadnym razie! Zbyt dużo czeka na mnie w domu, bym mógł się jeszcze zastanawiać nad pozostaniem tutaj na stałe.

Lekki, aczkolwiek dobitny, ton jego odpowiedzi nieprzyjemnie ją rozczarował. Czy myślał teraz o Dolores jako o kimś, kto czeka na niego w dalekiej Ameryce?

Pozostało to dla niej zagadką. Kirk w swoich wypowiedziach był drażniąco enigmatyczny. Celowo unikał rozmowy o Dolores, chociaż zanim opuścili zamek, wspomniał, że Raol dzwonił z lotniska w Glasgow. Sądziła, że powie coś jeszcze, ale on milczał. Nie miała zamiaru pytać, czy rozmawiał z Dolores, czy też nie. Było jej to obojętne.

Pośrodku sali znajdował się mały parkiet taneczny. Gdy skończyli pić kawę, Kirk spojrzął na nią i zapytał z wahaniem:

- Czy chciałabyś zatańczyć? - Zaraz jednak odsunął swoje krzesło i powstał.

- Z przyjemnością. - Zaproszenie było dla niej niespodzianką. Gdy przeciskali się między gośćmi i ich stolikami, przeszył ją dreszcz podniecenia.

Jej biała satynowa sukienka miała z tyłu głębokie wycięcie odsłaniające nagie plecy. Zadrżała lekko, gdy jego ręka dotknęła odsłoniętej skóry. Czekali, aż mała orkiestra zacznie znowu grać. Poczuła się rozczarowana, gdy usłyszała jedną z piosenek Beatlesów z lat sześćdziesiątych. Wydawało jej się, że bardziej odpowiednia byłaby jakaś wolna nastrojowa melodia. Nawet Kirk wydawał się nieco zbity z tropu.

- Cóż, chyba odzwyczailem się od tego - roześmiał się, rozluźniając węzeł krawata. Obydwoje byli zaróżowieni i troszkę zadyszani, gdy umilkły ostatnie dźwięki "Penny Lane".

- Czy masz ochotę jeszcze trochę potańczyć? - zapytał Kirk, a ona ledwo go dosłyszała w panującym zgiełku.

Rozbrzmiały pierwsze takty utworu "Gdy ujrzałem cię pierwszy raz". Widząc zgodę w jej oczach, otworzył ramiona. Objęła mocny kark swego towarzysza, a on lekko przyciągnął ją do siebie, gładząc przy tym delikatnie jej nagie plecy.

Po chwili zaczął cichutko nucić jej do ucha. Serce Sary waliło jak oszalałe.

Przesunęli się na środek parkietu. Kirk na wpół szeptał, na wpół śpiewał słowa piosenki miękko, głębokim głosem. Czy tylko się jej wydawało, czy naprawdę trzymał ją przy sobie zbyt blisko?

Ich ciała przylgnęły do siebie, zwały się w jedno, gdy wolno się kołysząc, krążyli po parkiecie. Orkiestra zagrała "Dopiero co zaczęliśmy". Czuł szybkie bicie jej serca.

Jego ręka zaczęła przesuwając się delikatnie po karku dziewczyny, a usta powędrowały pieścizotliwie do czoła, a potem w dół, do ucha.

- Wspaniale pachniesz - wyszeptał.

Czuła ciepły, wilgotny oddech na twarzy, sprężyste wargi muskały miękko jej skroń. Jej dłoń bawiła się jego włosami, zagłębiała się w te najkrótsze na karku i wędrowała dalej, głębiej w gęste kręcone fale. Oddychał coraz szybciej, pełniej, a jego palce z każdą chwilą natarczywiej pieściły odsłoniętą skórę pleców. Wszystko wokół - ludzie, świat, zdawało się roztapiać, przemieniać w gęsty całun mgły spowijającej tańczącą parę. Nie było już nikogo prócz ich dwojga splecionych razem. Usta Kirka dotknęły zgięcia szyi Sary tuż nad obojczykiem. Prawie niedostrzegalne kropelki potu pokryły jej czoło. Zalała ją fala pożądania. Niczego i nikogo więcej nie pragnęła, tylko tego mężczyzny.

Muzycy odłożyli instrumenty. Inne pary powróciły do swoich stolików, tylko oni stali, nie mogąc oderwać się od siebie. Jego oczy wpatrywały się w nią tak płomiennie, że odwróciła wzrok. Ujął ją za ramię.

- Chyba lepiej będzie, jeśli usiadzimy - zaproponował.

Jak we śnie pozwoliła mu się prowadzić między stolikami. Usiedli przy stole nakrytym białym adamaszkowym obrusem. Zapadła krępująca cisza.

- Może chciałabyś się czegoś napić? - zapytał Kirk. Skinęła twierdząco głową, wdzięczna, że mają temat do rozmowy. Wstał i uśmiechnął się.

- To nie potrwa długo. Na co masz ochotę? Gin z tonikiem?

- Może być. - Wciąż była pod wrażeniem chwil spędzonych na parkiecie i było jej obojętne, co teraz wypiją, gin z tonikiem, whisky czy sherry.

Patrzyła, jak szedł w kierunku baru, który znajdował się na drugim końcu sali. Dlaczego wszyscy Amerykanie chodzą jak John Wayne? Szerokie ramiona miał okryte sportową marynarką z beżowej wełny, szedł wyprostowany, lecz jego biodra zdawały się kołysać, gdy przeciskał się między stolikami. Jego mocne, zgrabne uda okryte bladoniebieskimi szerokimi spodniami pulsowały nęcąco. Znowu ogarnęła ją fala pożądania. Nie spuszczać oczu ze znikającej postaci, wyjęła z torebki małą chusteczkę i otarła wilgotne czoło.

Gdy wracał, niosąc dwie szklanki, udała, że nie patrzy na niego zajęta nadłamanym paznokciem. Postawił drinki na stoliku i usiadł.

- Zdrowie! - uniósł szklankę z przezroczystym cierpkim płynem. Myślała, że coś doda, w końcu jednak sama spróbowała przełamać krępujące milczenie.

- Czy oni rozpalają tu ogień? - wskazała na olbrzymie palenisko wypełnione stosem równo ułożonych kłód drewna.

- Na pewno. Mogę się założyć, że zimą jest tu lodowato.

Sara upiła łyk i zachichotała, gwałtownie rozbryzgując alkohol po całym obrusie.

- O Boże, tak mi przykro! - z zakłopotaniem zaczęła wycierać chusteczką mokre plamki na białym adamaszku.

Patrzył na nią ubawiony i śmiał się z cicha, co wprowadziło ją w jeszcze większe zakłopotanie. Sięgnęła po torebkę, by wyjąć czystą chusteczkę i nagle ku swemu przerażeniu zobaczyła, jak zahacza łokciem o szklankę z napojem i rozlewa to, co w niej pozostało. Patrzyła, jak plama rozszerza się coraz bardziej. Przeżycia dzisiejszego dnia sprawiły, że nie wiedziała, jak zareagować - śmiać się czy płakać. W oczach zakręciły się jej wielkie łzy, a na ustach błąkał się niepewny uśmiech.

- Dziękuję - wyszeptwała, wzięwszy chusteczkę ofiarowaną jej przez Kirka i zaczęła osuszać wilgotne policzki. Duża łza spadła na grzbiet jej dłoni. Spojrzała na Kirka zapłakanymi oczyma.

- Jest mi bardzo przykro. Doprawdy sama nie wiem, co się ze mną dzieje i czemu płaczę - zaśmiała się przez łzy. Ścisnęła w rękę mokrą chusteczkę.

- Ale ja wiem - spojrzał na nią poważnie. - Zbyt dużo wrażeń, to wszystko. - Popatrzył na swoją pustą szklankę. - Muszę przyznać, że sam czuję się dzisiaj podobnie. W takie dni lepiej wyjść z domu.

Spróbowała się lekko uśmiechnąć.

- Sądzę, że w takie dni lepiej zostać w łóżku.

- A skoro mowa o łóżku... - popatrzył na swój zegarek. - Jest prawie jedenasta, uważam, że powinniśmy już wracać do domu.

Nie protestowała. Usiadła wyprostowana i patrzyła, jak Kirk prosi kelnerkę o rachunek.

Była już prawie północ, kiedy weszli na zamkowe schody. Sypialnie obojga znajdowały się na pierwszym piętrze - Sary tuż przy schodach, natomiast Kirka w odległym końcu korytarza. Gdy zatrzymali się przy drzwiach pokoju Sary, myśleli o tym samym.

- Nie możesz spędzić tej nocy w takim okropnym bałaganie - powiedziała niepewnie. Ich spojrzenia spotkały się. Głęboki głos odpowiedział jej łagodnie:

- Nie, właśnie zastanawiałem się, czy mógłbym... Znow poczuła, jak serce zaczyna bić ostrzegawczo pod cienką satynową sukienką. Obecność tego mężczyzny budziła jej zmysły. Zaczęła mimowolnie drżeć, gdy położył ręce na jej delikatnych ramionach. Spuściła głowę, nie mogąc znieść jego spojrzenia. Łagodnie uniósł jej brodę i spojrzał w oczy.

- Czy masz jakąś lepszą propozycję?

Czuła na skórze jego ciepły oddech i płonący pożądaniem wzrok. Jej usta rozchyliły się, jakby chciała coś powiedzieć, jednak żadne słowo nie padło. Wciąż walczyła ze sobą, pragnąc panować nad swymi uczuciami, lecz każda jej cząstka, każdy nerw pragnęły bliskości tego mężczyzny. Poczuł, jak drży, gdy silniej zacisnął palce na jej ramionach.

- Och, Kirk - zmieszana potrząsnęła głową i w jej oczach znow stanęły łzy.

Spojrzał na nią, ich wargi znow były tak blisko. Jego oddech stał się szybszy i głębszy, a podniesione brwi zmarszczyły się lekko.

- To... To nie byłby twój pierwszy raz, prawda? - zapytał cicho pełen niedowierzania.

Nic nie odpowiedziała, lecz wilgotne od łez oczy starczyły za odpowiedź. Z nieskończoną delikatnością przyciągnął ją do siebie, odsuwając łagodnie pukle jasnych włosów. Przytuliła głowę do jego ramienia. Pod cienką koszulą czuła bicie jego serca i silne ciało przepelnione pożądaniem.

W końcu odsunął się od niej i westchnął głęboko.

- Wybacz mi, Saro, ja... - słowa zagubiły się w czułym pocałunku.

Mimo iż próbowała się powstrzymać, jej rozpalone ciało lgnęło do mężczyzny, przełamując wstyd. Ale coś było nie tak. Odsuwał się łagodnie i starał się uwolnić z jej objęć. Całe ciało Sary drżało poruszone bliskością Kirka, a jego pocałunek wciąż

palili wargi. On tymczasem powoli zdjął jej ramiona ze swojej szyi. Spojrzała ku niemu wielkimi, lśniącoymi oczyma. Nie potrafiła zrozumieć jego zachowania. Cameron wyciągnął rękę i lekko pociągnął ją za ucho, jak niegrzeczne dziecko, które coś spsocioło.

- Przepraszam, kochanie, to się więcej nie powtórzy. - Przez moment na jego twarzy igrał ledwie dostrzegalny półuśmiech, a potem położył dłonie na jej ramionach. - Idź teraz spać. To był niesamowity dzień!

Mówiąc to, odszedł, zostawiając Sarę samą. Patrzyła w ślad za nim, póki nie zniknął w drzwiach na końcu długiego korytarza. Westchnęła głęboko i zamknawszy znużone oczy, oparła się plecami o drzwi. Wielkie jak groch łzy potoczyły się po policzkach. Co się z nią dzieje? Czyżby zakochała się w Kirku Cameronie? Patrząc nie widzącymi oczyma w ciemność długiego korytarza, doszła do wniosku, że albo był dżentelmenem i nie chciał bawić się jej uczuciami, albo nie chciał ryzykować i ponownie angażować w uczucie. Gdy weszła do pokoju pomyślała, że być może lepiej, iż tak się stało.

Kiedy spojrzała na łożo, przypomniała sobie, jak trzymając ją w mocnych ramionach, patrzył na nią w ten sposób, a potem delikatnie położył na pościeli. Na wargach wciąż czuła jego palące pocałunki. Dotknęła płonących ust palcami. Wolno uklękła na jagnięcej skórcie leżącej przed łożem i zanurzyła twarz w puchową kołdrę.

- Och, Kirk... Kirk.

Powtarzała jego imię aż do momentu, gdy wreszcie nad ranem, w zimnym, szarym świetle świtu usnęła.

\* \* \*

Kiedy się obudziła, była już prawie dziewiąta. Czuła się zupełnie wyczerpana. Jej ciało i umysł odmawiały posłuszeństwa. Leżała jeszcze chwilę w ciszy otulona miękką pościelą. Promienie słońca wpadające przez wysokie okno zamigotały złotem na małej brązowej wskazówce zegara na nocnym stoliku. Oczy Sary powędrowały za drugą wskazówką, która szybko przemierzała przestrzeń białej emaliowanej tarczy. Zastanowiła się. Może w jakimś poprzednim wcieleniu kochała Camerona? Może to ona była tą szczęśliwą kobietą, której rzeźba znajdowała się w ścianie zamku od strony ogrodu? Tyle pytań o przeszłość i przyszłość kłębiło się w jej myślach. Ale teraz nie było na to czasu - trzeba wstać i wykonywać dalej swoją pracę tak, jakby do niczego między nimi nie doszło.

Sara spędziła cały dzień na szacowaniu szkód wyrządzonych przez Dolores, potem znów katalogowała niezliczone ilości obiektów małych i dużych oglądając, wyceniając, zapisując.

- Doktor Cameron został wezwany w interesach - to było wszystko, co usłyszała od pani McGregor. Musiało jej wystarczyć takie lakoniczne wyjaśnienie. Godziny mijały wolno, a Kirka wciąż nie było.

Zamek wydawał się teraz zupełnie opuszczony i ona również tak się czuła. Zjadłszy kolację, zagubiona i samotna chodziła z pokoju do pokoju, odwracając się gwałtownie na dźwięk każdego skrzypnięcia, każdego nawet najmniejszego trzasku, w nadziei, że go ujrzy. Nie pojawił się, mimo że mijała już północ. Stała w oknie,

patrzając smutno na długi kręty podjazd. Do licha, co się z nią dzieje? Była zakochana raz lub dwa. Ale nigdy nie czuła się tak jak teraz. Co gorsza, nawet nie była pewna, co Kirk do niej czuje. Czy zaślepiiony wciąż kochał tamtą? Wszystko, co mówił na temat Dolores po jej wyjeździe, przeczyło temu, ale za każdym razem, gdy przebywała w pokoju, który kiedyś dzielili, czuła, jak serce jej się ściska. Na myśl o tym, że ujrzy ich razem, odczuwała niemal fizyczny ból.

Noc była bardzo parna. Gwiazdy skryły się za ciężkimi chmurami, a w powietrzu wisiała burza. Sara zasłoniła okno ciężkimi kotarami z aksamitu. Białe płócienne prześcieradło zdawało się kleić do jej nagiego ciała. Długo nie mogła zasnąć. Do świtu przewracała się z boku na bok. Nie mogła zapomnieć spojrzenia ciemnych oczu Kirka w chwili, gdy od niej odchodził. Gdy rano ubierała się do śniadania, poczuła, że jest o wiele bardziej spięta, niż była kiedykolwiek od chwili przyjazdu do Ravenscraig. Twarz, którą ujrzała w lustrze, miała cienie pod oczami. Szybko sięgnęła po puder, by je ukryć, nim zabrzmiał gong wzywający do stołu.

Zjadła już połowę swego porannego grejfruta, gdy nagle usłyszała szcęk otwieranych drzwi.

- Kirk! - wyrwało jej się mimo woli.

Wszedł do pokoju. Miał jeszcze na sobie płaszcz kąpielowy i rzemieńne sandały na bosych stopach. Podeszedł do okna za jej krzesłem. Ponieważ milczał, wróciła do jedzenia czując, że Kirk patrzy na nią uważnie.

- Jutro wyjeżdżam do Chicago - powiedział w końcu - i chcę byś pojechała tam ze mną.

Łyżka upadła z brzękiem na biały obrus.

- Do Chicago? - zupełnie zaskoczona odwróciła ku niemu twarz.

Kirk zapalił papierosa.

- Tak, do Chicago. Pojedziesz ze mną?

Przez głowę zaczęły jej chaotycznie przebiegać różne myśli. Nabrała głęboko powietrza i starała się skupić. Obserwował ją bacznie, pragnąc uchwycić każde drgnienie jej twarzy.

- Ja... naprawdę nie wiem... Moja praca... Muszę skończyć katalogowanie.

- Zapomnij o tym - powiedział szorstko. - Czy pojedziesz ze mną? - zapytał jeszcze raz. - Czas, który ci zostanie po powrocie, z pewnością wystarczy na dokończenie tego, co zaczęłaś, a jeśli nie, postaram się to zrekompensować twoim pracodawcom.

- Na jak długo mamy jechać? - Sara grała teraz na zwłokę.

- Tylko na dzień lub dwa. Chodzi o pracę, moją pracę.

- Pracę - jej brwi uniosły się w zdumieniu. - Przecież masz dobrą pracę na uniwersytecie w Kalifornii.

Głęboko zaciągnął się papierosem, a potem wypuścił nosem dym.

- To prawda. Ale staram się o lepszą w Chicago. Tam mógłbym prowadzić własną katedrę. Jestem na liście kandydatów i muszę teraz odbyć rozmowę z władzami uniwersytetu.

Podeszedł do rzeźbionego krzesła na drugim końcu stołu i usiadł ciężko, przerzucając nogę przez poręcz i opierając się wygodnie. Popatrzył na nią.

- Złożyłem podanie mniej więcej miesiąc temu - wyjaśnił bezbarwnym głosem. - Szczerze mówiąc, nie traktowałem tego zbyt poważnie. Po raz kolejny pokłóciłem się z Dolores, a w pracy miałem kłopoty ze starszym profesorem naszej katedry. Zmęczyło mnie to. W gazecie znalazłem ogłoszenie o pracy i napisałem do nich. To wszystko.

- A kiedy się dowiedziałeś, że masz szansę dostać tę pracę?

- Wczoraj otrzymałem paczkę listów skierowanych pod nowy adres i jeden z nich dotyczył tej sprawy. Został nadany z Chicago na mój adres w Los Angeles w zeszłym tygodniu i stąd to opóźnienie. Pojutrze muszę być na uniwersytecie w Chicago. Dlatego chcę wylecieć najpóźniej jutro rano.

- 1 chcesz, żebym z tobą poleciała? - Ta myśl wciąż wprawiała ją w osłupienie.

- Dla towarzystwa - powiedział, oglądając żarzący się koniec papierosa. - Sądziłem, że ten pomysł ci się spodoba. Dni spędzone w Ravenscraig musiały być dla ciebie ciężkie.

Miała rację, a poza tym nigdy dotąd nie była w Stanach. Propozycja była więcej niż nęcąca. I wtedy przypomniała sobie o czymś strasznym. Paszport i inne dokumenty miała w porządku, gdyż firma zleciła jej pracę nad zamówieniem z Nowego Jorku, które zresztą nie doszło do skutku. Nie mogła jednak wyjechać z Kirkiem, ponieważ dokumenty wciąż leżały w szufladzie biurka, stojącego w jej londyńskim mieszkaniu.

- Wszystkie moje papiery są w porządku - powiedziała wolno. - Musiałam je uzupełnić, ponieważ firma chciała wysłać mnie do Stanów, ale... niestety...

- Saro, o co chodzi? - spojrzał na nią pytająco.

- Wszystkie dokumenty zostawiłam w moim mieszkaniu w Londynie, to wszystko - westchnęła zawiedziona czując, jak oddala się od niej perspektywa niecodziennej wycieczki.

- To żaden kłopot - Kirk zdjął nogę z drewnianej poręczy i oparł się łokciami o stół. - Polecimy pierwszym samolotem do Londynu, zabierzemy twój paszport, a w południe będziemy nad Atlantykiem.

- Dzięki tobie wszystko staje się proste - westchnęła, coraz bardziej przejęta.

- Bo wszystko jest proste. Naprawdę. - Uśmiechnął się do niej ciepło, a ona poczuła, że topnieje pod żarem jego spojrzenia.

- Z przyjemnością będę ci towarzyszyła - powiedziała z prostotą, choć wszystko w niej drżało z emocji.

Oczami wyobraźni widziała, jak Klara zdziwiona otwiera im szeroko drzwi.

Zadowolony Kirk nalał sobie do kubka kawy ze srebrnego dzbanka stojącego na stole. Przez chwilę siedzieli w milczeniu, a potem Cameron przechylił się nad stołem i zgasiwszy papierosa w popielniczce, zapytał:

- Czy mieszkasz z rodzicami? Sara potrząsnęła przecząco głową.

- Nie, oni mieszkają w Woking, niedaleko Londynu. Nie uśmiechały mi się jednak codzienne dojazdy w godzinach szczytu. Zresztą, prawdę mówiąc, po otrzymaniu dyplomu miałam ochotę wyrwać się spod ich opiekuńczych skrzydeł. Spojrzał na nią i roześmiał się ze zrozumieniem.

- A ty? - zapytała z uśmiechem, chrupiąc kawałeczek tosta, pilnie uważając, by żadna okruszyna nie pozostała na szmince.

- Sierota - odpowiedział smutno. - Moi rodzice zginęli w wypadku samochodowym, gdy byłem w ostatniej klasie college'u. Jestem jedynakiem, nie mam rodzeństwa.

- To musiał być dla ciebie straszny cios.

- Tak, masz rację. Ale na szczęście byłem już w takim wieku, że mogłem sobie poradzić bez większych trudności. To przeżycie sprawiło, że przez dłuższy czas czułem się bardzo samotny, zwłaszcza że nie miałem krewnych i na nikogo nie mogłem liczyć.

Bawił się uszkiem filiżanki. W tej chwili pojęła, że nareszcie zobaczyła jego prawdziwe oblicze. To właśnie był Kirk Cameron, a nie zagadkowa skorupa kryjąca go przed światem. Trwało to zaledwie sekundę, a potem ujrzała znowu człowieka z pełnymi figlarnych błysków oczami.

- Nie mogę jednak powiedzieć, by samotność była problemem w obecnych czasach. Patrzył na nią i Sara ponownie poczuła się zażenowana.

- Szczęściarzu z ciebie! Wyobrażam sobie, że większość twoich studentek spędza dużo czasu wdzierając się do swojego profesora i próbując znaleźć się w jego łóżku - nie mogła się oprzeć, by mu nie dokuczyć.

- Tylko niektóre! - wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu, gdy błysnęła ku niemu zielonymi oczami. - Nie miałaś zbyt wielu chłopaków? Mam rację?

Wyprostowała się gniewnie, prawie rzucając resztkę tosta na talerz.

- Coś takiego! - krzyknęła poruszona. - Dlaczego tak sądzisz? - Jej policzki płonęły.

Podniósł brwi i spojrzał na nią porozumiewawczo.

- To tylko intuicja.

- To znaczy, że na kilometr czuć dziewczycę, tak?

- No... nie na kilometr, może na metr.

Znowu z niej żartował. Jej gniew malał w miarę, jak dochodziło do głosu poczucie humoru, lecz wciąż musiała walczyć z ustami mimowolnie wyginającymi się w podkówkę.

Oparł się o stół i ubawiony zauważył:

- Pani się szybko uczy, panno Phillips, bardzo szybko. - Wstał z krzesła i skierował się ku drzwiom. - Chyba lepiej będzie, jeśli się ubiorę, bo moje nagie ciało może przywieść ci na myśl coś wielce nieprzystojnego.

Odszedł, zanim zdołała wykrztusić odpowiedź. Męska arogancja! Na ustach wciąż miała uśmiech, upiła nieco kawy z filiżanki i zagryzła tostem. W powietrzu jeszcze unosił się zapach płynu po goleniu.

Odrzucając pukiel niesfornych włosów, wytarła grzbietem ręki skroń.

- Kirk, nie chciałabym żałować swojej decyzji - wyszeptowała i jej myśli popłynęły na fali marzeń ku Chicago.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Sara bała się latać samolotem, ale jeszcze bardziej bała się przyznać do tej słabości. Jednak Kirk, spojrzawszy w jej przerażone oczy, od razu wszystko zrozumiał. Gdy

stewardesa na lotnisku zapowiedziała ich lot, ujął jej dłoń i uśmiechnął się krzepiąco.

- Obiecuję ci, że nie odstąpię cię ani na krok, póki nie wylądujemy w Illinois.

- Trzymam cię za słowo - uśmiechnęła się niewinnie, a jej palce wciąż spoczywały w jego ciepłej dłoni.

Podczas lotu mało rozmawiali. Obejrzeni film, czytali i trochę spali. Obecność Kirka dawała jej poczucie bezpieczeństwa. Gdy od czasu do czasu ich palce spotykały się i Cameron zamykał jej dłoń w pewnym uścisku, serce Sary trzepotało z radości.

Godziny mijały i lot zbliżał się ku końcowi. To, iż siedzieli tak blisko siebie, wytworzyło nastrój intymności. Nie mogła znieść myśli, że przesywający dreszczem północno-wschodni wiatr szalejący nad jeziorem Michigan, dzięki któremu Chicago zyskało opinię wietrznego miasta, może unieść ze sobą delikatną wieź. Na wpół śpiąc usłyszała, że kapitan zapowiada przez głośnik koniec lotu. Właśnie wyszli z chmur i w dole widać było szarobłękitną powierzchnię jeziora Michigan. Kirk przechylił się, by lepiej widzieć. Sara zadrżała, gdy włosy mężczyzny dotknęły jej policzka i poczuła zapach jego wody toaletowej.

- Pomyśl tylko, cała ta ziemia, serce Ameryki Północnej, leżała kiedyś na dnie tropikalnego morza.

- Tropikalnego morza? - jej brwi uniosły się pytająco. - Chyba dość dawno temu? Kirk rozsiadł się wygodnie w fotelu.

- Kilkaset milionów lat! - jego oczy zabłysły. - Niewiele śladów pozostało po tamtym okresie... Na przykład te olbrzymie pokłady wapienia, na których wybudowano miasto.

- Czy byłeś tu kiedyś? - zapytała Sara zdziwiona, że nie pomyślała o tym wcześniej.

- Raz, może dwa, parę lat temu. To było jakieś weekendowe seminarium i parę konferencji. Nic godnego uwagi. Po całym dniu omawiania wiktoriańskich powieści człowiek nie ma nawet ochoty wyskoczyć gdzieś, by się rozerwać.

Uśmiechnęła się i zaczęła szukać w torebce małego lusterka. Inni pasażerowie wkładali okrycia i sadowili się wygodnie w fotelach w oczekiwaniu końca długiej podróży. Zanim samolot zaczął schodzić do lądowania, zapaliły się czerwone lampki nakazujące zapięcie pasów. Na pokładzie zawrzało od ożywionych rozmów.

Gdy schodzili po stopniach na lotnisko, mżył delikatny deszczyk. W połowie drogi Sara zatrzymała się i popatrzyła na rzędy nieruchomych samolotów i budynki międzynarodowego portu lotniczego O'Hare.

- A więc to jest Ameryka - westchnęła na wpół do siebie, na wpół do Kirka, który objął ją ramieniem.

Jeśli nie liczyć nieco odmiennego akcentu pasażerów, lotnisko niewiele różniło się od Heathrow, ale gdy już uporali się z formalnościami celnymi i usadowili się wygodnie w żółtej taksówce, różnice stały się bardziej wyraziste.

Gdy przejeżdżali ponad rzeką Des Plaines, mijając wielkie budowle stojące po obu stronach drogi, Sara poczuła się jak Alicja w Krainie Czarów.

- Wszystko tutaj jest takie nowe, wręcz futurystyczne - powiedziała, opierając się plecami o winylowe pokrowce siedzenia. Jechali teraz obok monotennie wyglądających bloków.



- Dlaczego? Niektóre z tych budynków mają po sto lat, a ten kraj liczy dwa wieki.
- Wygląda na to, że Stany nie są nawet w jednej trzeciej tak stare jak Ravenscraig - uśmiechnęła się nieśmiało Sara.

Kirk zmarszczył lekko brwi, ale nic nie odrzekł. Zamiast tego pochylił się do przodu i powiedział do kierowcy poprzez szklane przepierzenie dzielące taksówkę na dwie części:

- Czy mógłby pan zrobić jeszcze małą przejażdżkę brzegiem rzeki, zanim wysadzi pan nas przed hotelem?

Starszy mężczyzna pokiwał głową i podrapał się po kilkudniowym zarostie.

- Nasz klient - nasz pan.

Włączył lewy kierunkowskaz i wjechał w gęstą sieć uliczek. Kirk odwrócił się do Sary.

- Sądziłem, że chcesz obejrzeć miasto, zanim udamy się do hotelu.

Sara przytaknęła.

- Z przyjemnością. Podoba mi się tu. Dziękuję ci, Kirk.

Gdy ich taksówka mknęła wśród innych pojazdów pod przęsłami licznych mostów, za nimi, na tle ołowianoszarego nieba, wyrosły olbrzymie wieże Laop, podobne wielkim szklanym obeliskom. Jechali teraz w kierunku jeziora. Płynąca dotąd pod mostami szeroka, szara rzeka wpadała do jeziora Michigan. Pomimo surowych praw ekologicznych jej szeroki kanał był czarny od zanieczyszczeń. To rzece miasto zawdzięczało swój rozkwit i bogactwo, tędy płynęły liczne barki wyładowane po brzegi zbożem i węglem. Po obu brzegach rzeki wznosiły się wysokie wieże elewatorów zbożowych i ogromne budynki magazynów przypominające o tych czasach, gdy Chicago było jednym z najważniejszych punktów handlowych na obszarze Wielkich Jezior.

Na lewo rozciągała się aż po horyzont stalowo-szara powierzchnia jeziora, którego brzeg przechodził w płaską trawiastą prerię. Miasto zbudowane ze szkła i betonu, pełne wysokich wież i budynków przylepiało się do wilgotnego brzegu jeziora jak ostryga do skały. Od górskich urwisk na północy, gdzie na przedmieściach mieszkało około siedmiu milionów ludzi, aż do zasypanych popiołami, zanieczyszczonych, poznaczonych siecią dróg obszarów zajmowanych przez stalowe zakłady przemysłowe, miasto wdzierało się nieustępliwie w granice wody. Cały olbrzymi kompleks portowy ciągnął się wzdłuż płaskiego brzegu. Statki wszelkiego tonażu stały przycumowane w wielkich dokach.

- Nie wiedziałam, że Chicago to tak ogromny port - zdziwiła się Sara.

Jechali teraz główną szosą, brzegiem jeziora. Od Lake Point Tower na wschodzie, do centrum Johna Hancocka na zachodzie, droga była świadectwem potęgi cywilizacji, które pozwalało miastu pretendować do tytułu największego i najnowocześniejszego w kraju.

- Imponujące, co? - Rozweselony Kirk patrzył, jak dziewczyna kręci się na wszystkie strony, by lepiej wszystko zobaczyć.

-I co, chciałabyś tu mieszkać? Rzuciła mu szybkie spojrzenie, starając się nie wy-czytać zbyt dużo z jednego krótkiego pytania.

- Miasto jest tak ogromne, że czułabym się w nim jak krasnoludek - odpowiedziała.

Roześmiał się i pokiwał głową ze zrozumieniem, po czym pochylił się do przodu, dając kierowcy znak, by wracał.

Przez następnych dwadzieścia minut, jadąc w kierunku północno-wschodnich dzielnic miasta, Sara rozglądała się, usiłując uchwycić każdy szczegół zadziwiającej panoramy. Zwiedziła większą część Europy, lecz w Chicago czuła się całkowicie obco. Było budzące grozę, czasem piękne, ale z pewnością nie brytyjskie i odległe o miliony lat świetlnych od Szkocji i Ravenscraig.

Kirk zarezerwował miejsca w hotelu Belvedere w dzielnicy Laop w północno-zachodniej części miasta. Gdy wchodzili do oszklonego foyer głównego budynku, Sara znów poczuła zdenerwowanie. Ich bagaże zostały zaniesione do pokoi, a Kirk zaproponował drinka przed udaniem się na górę.

- No i co myślisz o Chicago? Czy zdażyłaś już wyrobić sobie opinię o mieście? - spojrzał na nią pytająco i uniósł kieliszek do ust. Milczała przez chwilę.

- Londyn jest zupełnie inny - powiedziała w końcu. - Też mamy wysokie budynki, ale są one karłami w porównaniu z tutejszymi drapaczami chmur. W Chicago domy przytłaczają swoją wielkością, człowiek czuje się tu bardzo mały.

Pionowa zmarszczka przecięła jego czoło, więc Sara szybko dodała:

- Nie chciałam krytykować, miasto jest na swój sposób piękne.

Kirk pokiwał głową.

- Właściwie niewiele dotąd widziałaś. Niedaleko stąd jest parę pięknych parków. Kiedyś mówiono o Chicago "miasto ogrodów". Nawet jego dewiza brzmi "urbs in horto". Na początku ulice budowano tak szerokie, aby można było posadzić jeszcze drzewa, ojcowie miasta bardzo troszczyli się o zielen. Wieczorem, kiedy pójde na uniwersytet, możesz wziąć taksówkę i wybrać się na wycieczkę po okolicy. Ja muszę się dziś spotkać z paroma osobami.

- Dobrze - powiedziała, ale już z mniejszym entuzjazmem.

Myśl o samotnym spędzeniu pierwszego wieczoru w obcym mieście przerażała ją, ale mimo to uśmiechnęła się do niego promiennie wiedząc, że zależy mu, by była zadowolona z wycieczki.

Po drinku pojechali windą na siódme piętro i udali się do swych pokoi, żeby wziąć szybki prysznic i zdrzemnąć się przed obiadem. Sara od razu zauważyła drzwi łączące ich sypialnie, ale oparła się pokusie naciśnięcia klamki obawiając się, że Kirk to zauważy. Patrzyła na nie pełna lęku, czy przypadkiem się nie otworzą, podczas gdy ona będzie zdejmować z siebie ubranie. Z przyjemnością weszła pod prysznic.

Przez całe dziesięć minut obracała się pod orzeźwiającym strumieniem.

Rozprowadziła po ciele zielony żel, a potem spłukała pianę. Wyszła zza zasłony i zaczęła się energicznie wycierać jednym z białych tureckich ręczników. Zanurzyła się w bawełnianej pościeli i zamknęła oczy.

Obudziła się dokładnie piętnaście minut przed godziną spotkania z Kirkiem.

Wyskoczyła szybko z łóżka, spryskała się swoją najlepszą wodą toaletową, nałożyła koronkowy stanik i majteczki w cielistym kolorze, naciągnęła rajstopy i wsunęła stopy w białe skórzane sandały na bardzo wysokiej szpilce. Następnie narzuciła na siebie białą sukienkę z jedwabiu mieniącego się wplecionymi bladobłękitnymi nitkami.

mi. Wąski złoty pasek, złota bransoletka na prawym nadgarstku i para złotych kolczyków w kształcie obręczy uzupełniały kreację.

Po raz pierwszy odkąd opuściła Wielką Brytanię, poczuła się zupełnie odprężona i pewna siebie. Szła przez zatłoczoną jadalnię w kierunku, który wskazywała jej podniesiona ręka na końcu sali. Kirk powstał na jej powitanie, za co nagrodziła go olśniewającym uśmiechem.

- Serwują tutaj bardzo dobre obiady - powiedział, podając jej menu.

Złożyli zamówienie i Sara usiadła wygodnie na krześle w stylu Windsor.

- Czy często tu bywałeś?

- Raz czy dwa. Nigdy dotąd nie rezerwowałem tu pokoju, ponieważ przyjeżdżając do Chicago na seminaria, nocowałem w budynkach uniwersyteckich. Często natomiast stołowałem się w tym hotelu. Jego właścicielem jest kuzyn Raola - zaśmiał się krótko. - Raol, jak wszyscy Latynosi, ma olbrzymią rodzinę, której członków można spotkać prawie wszędzie.

Często bywa tu także Dolores, jeśli lata linią Los Angeles - Chicago.

Na wzmiankę o Meksykance Sara poczuła napięcie. Dolores była ostatnią osobą, o której teraz chciała myśleć. Ale widocznie zawsze jest obecna w myślach Kirka.

Zupa grzybowa podana ze świeżą śmietanką i płatkami z włoskich orzechów smakowała wyśmienicie. Nie rozczarowała ich też doskonale przyrządzona baranina.

- Jeśli pozwolisz, zrezygnuję z deseru - westchnęła z żalem Sara, gdy ujrzała podjeżdżający do ich stolika wózek zastawiony gateau, czyli różnymi rodzajami słodkich ciast z kremem, owocami i orzechami podawanymi na sposób francuski.

- Powinienem postąpić tak samo - zwierzył się Kirk, wskazując kelnerowi deser o nazwie "Black Forest", który wręcz ociekał smakowitym kremem. - Ale widzisz - kontynuował - mój problem polega na tym, że nie potrafię opanować niczego, prócz pożądanego.

Kelner uśmiechnął się i podał mu talerz.

- Mam nadzieję, że będzie panu smakowało - dodał.

Sara obserwowała, jak Kirk wybiera deserowym widelczykiem najbardziej soczystą jagodę i wkłada ją do ust.

- Czy ci ludzie, z którymi masz się dzisiaj spotkać, to twoi uniwersyteccy koledzy? - spytała, zanurzając usta w winie.

Pokiwał głową, wciąż rozkoszując się smakiem owocu.

- Jest wśród nich paru moich przyjaciół z tutejszej Katedry Literatury Angielskiej.

Mam cichą nadzieję, że udzieli mi paru poufnych informacji na temat tego, kto jutro będzie przeprowadzał rozmowy kwalifikacyjne.

- Otrzymanie tej pracy jest dla ciebie bardzo ważne, prawda?

Pomyślał przez moment i odpowiedział:

- Sądzę, że gdyby wybrali kogoś innego, najbardziej ucierpiałaby na tym moja duma.

W gruncie rzeczy, jeśli mi się nie uda, będę rozpaczał.

Nalała sobie pół filiżanki kawy i pokiwała głową w zamyśleniu.

- Możesz jeszcze napisać o tym książkę. No wiesz, ukazać stosunki panujące na uniwersytecie i system społeczny tak, jak zrobił to w Anglii Malcolm Bradbury.

Uśmiechnął się, białe zęby błysnęły w opalonej twarzy.

- To niezły pomysł. Nie sądzę, by książka zdobyła nagrodę Pulitzera, ale wielu pochowanych ostatnio ludzi z pewnością przewróciłoby się w grobie, gdybym ją wydał.

Chwilę jeszcze rozmawiali na temat przyjaciół Kirka, potem Cameron spojrzął na zegarek i powiedział:

- Posłuchaj, skarbie, muszę już iść. Zamów to, na co będziesz miała ochotę i nie martw się kosztami, wszystko idzie na mój rachunek. - Wstał z krzesła i pocałował ją w policzek. - Odpręż się teraz. Zobaczmy się jutro rano, a może nawet wcześniej. Sara z wyrazem lekkiego oszołomienia na twarzy patrzyła, jak odchodzi.

Instynktownie dotknęła koniuszkami palców policzka, na którym spoczęły przed chwilą jego wargi. Jeszcze raz pojawił się kelner pytając, czy życzy sobie czegoś jeszcze.

- Nie, dziękuję bardzo - powiedziała, potrząsając przecząco głową. Siedzenie tutaj bez Kirka nie miało sensu. Mogła pójść za jego radą i wynająć taksówkę, by obejrzeć miasto. Na zewnątrz czekał na nią nowy świat.

Już miała wychodzić, gdy podszedł do niej jasnowłosy mężczyzna i zapytał, czy może jej dotrzymać towarzystwa. Siedział przy stoliku obok i musiał usłyszeć, że Kirk zostawia ją samą. Przez chwilę zastanawiała się, jak wybrnąć z sytuacji, by nie urazić natręta. Nie chciała zawierać nowych znajomości. To zabawne, ale w innych okolicznościach z zadowoleniem przyjęłaby propozycję wspólnego drinka. Teraz jednak Kirk Cameron zastępował jej wszystkich mężczyzn tego świata i nic nie mogło tego zmienić.

Pozbycie się natrętnego typa zajęło jej około dziesięciu minut. Nie docierało do niego, że Sara nie ma ochoty na jego towarzystwo, nalegał nawet, by przyjęła jego wizytówkę.

- To na wypadek, gdybyś się nudziła, kochanie - tłumaczył.

Z ulgą patrzyła, jak odchodzi, a potem sama opuściła restaurację i wróciła do głównego foyer. Rudowłosa dziewczyna z recepcji zaproponowała jej przejażdżkę taksówką po dzielnicy.

- To biuro zatrudnia kierowców przeszkolonych na specjalnych kursach, gdzie mówiło się o socjologicznych i architektonicznych problemach naszego miasta, które mogą zainteresować turystów - zapewniła Sarę.

- Czy macie dużo turystów z zagranicy? - zapytała Sara, zadowolona z takiego obrotu sprawy.

- O tak, głównie z Kanady, ale jest też paru z Europy. Pracuję tu od niedawna, więc czasem czuję się zakłopotana, gdy nie potrafię odpowiedzieć na ich pytania.

Dziewczyna odsunęła pasmo kasztanowych włosów i uśmiechnęła się do Sary.

Wzorem dla jej wystudiowanego powłóczystego spojrzenia były fotografie z ilustrowanych magazynów, których kilka leżało na półce obok kontuaru recepcji.

Sara wzięła jedno z czasopism i rozglądając się nerwowo na boki, by sprawdzić, czy nie ma w pobliżu mężczyzny, podeszła do miękkiego fotela z niskimi poręczami.

Zdołała przerzucić zaledwie parę stron pisma, gdy pojawił się dwudziestoletni, wysoki blondyn o kręconych włosach.

- Panna Phillips? Jestem pani przewodnikiem. Nazywam się Lars Olsen.

Sara wstała, pozostawiając magazyn na siedzeniu, i wyciągnęła rękę.

- Cześć, Lars. Czy nie powinienes oprowadzać mnie po Oslo, a nie po Chicago?

Chłopak uśmiechnął się.

- Moi rodzice byli Norwegami, a tutaj, w Chicago, jest bardzo niewielu moich rodaków. Polacy, Irlandczycy, owszem, ale nie Skandynawowie. Ale całkiem nieźle dają tu sobie radę - powiedział.

- W to nie wątpię! - odparła i wyszli z hotelu.

Przez następne pół godziny słuchała, jak Lars rozwodzi się na temat historii każdego budynku, który mijali.

- W architekturze Chicago można wyróżnić dwa podstawowe trendy - wyjaśniał, patrząc na nią uważnie od czasu do czasu, jakby sprawdzał, czy słucha. - Jeden to styl Holabird i Roche. Jest to tak zwana architektura organiczna, która zapewnia funkcjonalne planowanie w duchu ściśle naukowym. Ten styl pozwala wyeksponować wszystkie walory żelaza i stalowych konstrukcji, które z technicznego punktu widzenia wpływają oczywiście na ostateczne kształty budowli. Drugi kierunek można nazwać tradycją Louisa Sullivana. On również wywodzi się z funkcjonalizmu, ale wykracza poza wyrażanie wyłącznie struktury budowli. Pozwala na indywidualne widzenie przez architekta socjalnych i technicznych warunków obecnego życia.

Sara nabrała głęboko powietrza, ale Lars zagłębił się w swój ulubiony temat.

- Osobiście wolę ten pierwszy styl. Jego przykładami mogą być budynki Mies van der Rohe w Hyde Parku i dwie wieże przy jeziorze Shore Drive. Teraz pojedziemy je obejrzeć. Jednym z najwspanialszych osiągnięć architektury organicznej jest Civic Centrum ukończone w 1965 roku przez trzy wiodące firmy C.F. Murphy Associates; Skidmore, Owings i Merrill i Loeb, Schlossman, Bennet i Dart.

- Dość, już wystarczy! - słabo zaprotestowała Sara. - Wydaje mi się, że prócz jeżdżenia taksówką, studiujesz architekturę w jakimś college'u.

- Jak na to wpadłaś? - uśmiechnął się z zakłopotaniem. - Trochę mnie poniosło.

Nawet moja dziewczyna twierdzi, że jestem jedyną osobą, która ma takiego bzika na punkcie stali i betonu. Trudno mi w to jednak uwierzyć.

- A mnie nie - zapewniła go Sara. - Czy jest tu jakiś zjazd z tej ulicy? Chciałabym trochę pospacerować i poczuć atmosferę tej dzielnicy.

Na ustach Larsa pojawił się balon z gumy do żucia, który szybko pękł. Chłopak przesunął językiem resztki gumy w kierunku policzka.

- Dobra. To niezły pomysł - powiedział krótko. - Sądzę, że w każdej części Laop będziesz się czuła doskonale, ale chyba zaczniemy od alei Michigan. Jestem pewien, że w całym mieście nie znajdziesz odpowiedniejszego miejsca do robienia zakupów. Skręcając w lewo, wychylił się przez okno, chcąc dać znak natarczywie trąbiącemu kierowcy, który jechał za nimi.

- Żadnej cierpliwości. Czasem wydaje mi się, że na takich facetów taksówka działa jak czerwona płachta na byka.

Po zaparkowaniu Lars przechylił się przez przednie siedzenie i otworzył Sarze drzwi.

- Czy chciałabyś, zebym ci towarzyszył, czy też wolisz przejść się sama?  
Pomyślała chwilę. Nie odpowiadało jej nie kończące się słuchanie opowieści o architekturze, choćby najwspanialszej.  
- Nie, dziękuję. Poradzę sobie sama. Czy mogłabym zapłacić rachunek teraz i spotkać się z tobą, powiedzmy, za pół godziny?  
Propozycja mu odpowiadała i uregulowawszy rachunek, Sara pomachała mu na pożegnanie, a potem wsunęła podrózną książeczkę czekową do torebki.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Sara stała na chodniku i rozglądała się wokół. Niebotycznie wysokie hotele, budynki biurowe i mieszkalne drapacze chmur oświetlone od dołu bogatymi witrynami sklepowymi tworzyły nie kończącą się aleję Michigan. W oddali, na tle ciemnoniebieskiego wieczornego nieba, rysował się stupiętrowy gmach domu towarowego Centrum Johna Hancocka, jeden z najwyższych w Chicago. Chociaż dochodziła dwudziesta druga, wiele sklepów było jeszcze otwartych i Sara przyspieszyła kroku, by odwiedzić parę z nich. Skierowała się ku księgarni Macey na rogu ulicy. Pomyślała, że powinna kupić coś dla Kirka, by w ten sposób podziękować mu za wycieczkę. Nie zapomniała także o sobie. Dwadzieścia minut później wyszła ze sklepu z dwiema torbami, czarną i złotą. Kupiła dwie książki - najnowszą powieść Doris Lessing dla siebie i tom korespondencji Elizabeth Gaskell dla Kirka. Wiedziała, że prezent mu się spodoba. Gaskell należała do ulubionych pisarzy dziewiętnastowiecznych. Książka była pięknie oprawiona i na pewno stanie się miłym uzupełnieniem jego księgozbioru. Tak rozmyślając, uśmiechnęła się sama do siebie i spojrzała na zegarek. Spędziła dużo czasu w księgarni i teraz zdała sobie sprawę, że musi się pośpieszyć, jeśli nie chce, by Lars czekał na nią zbyt długo. Na szczęście chodnik był prawie pusty i mogła iść tak szybko, jak tylko pozwalały jej szpilki. Zanim dotarła na róg ulicy, skąd musiała skręcić w kierunku parkingu samochodowego, zadyszała się i musiała się na chwilę oprzeć o witrynę dość ekskluzywnego sklepu z ubraniami. Był to typ wystawy, którą można było obejść dookoła i podziwiać wystawione przedmioty od strony wewnętrznego arkadowego przejścia. Sklep był już zamknięty i Sara zeszytniała, usłyszawszy hałas w głębi przejścia. Nerwowo ruszyła w kierunku samochodu. Dzielilo ją od niego tylko dwieście metrów, gdy zauważyła, że ktoś za nią idzie. Odwróciła się i dostrzegła dwóch wyrostków wyłaniających się zza wystawy. Przyspieszyła kroku. Była spocona ze strachu. Jej sandały wystukiwały nerwowe staccato o betonowe płyty chodnika. Nagły cios rzucił ją na beton. Biała skórzana torebka została zerwana z jej ramienia. Desperacko uczepiła się wąskiego paska, gdy wyższy z napastników gwałtownie ciągnął torebkę, a wraz z nią Sarę, w swoją stronę. Cienki materiał jedwabnej sukienki rozdarł się o szorstkie płyty.  
- Puszczaj! - wrzasnął mniejszy i dobrze wymierzonym kopniakiem trafił ją w skroń. Wypuściła pasek i patrzyła bezradnie, jak napastnicy znikają w oddali, zabierając jej torebkę i książki.

Wstała chwiejnie, oślepiąca łzami. Sukienka była rozdarta, pas materiału dyndał groteskowo przy jej kostkach. Wieczorna bryza powiewała nim jak żalną, białobłękitną flagą. Obydwie nogi miała otarte i ciekła z nich krew, a głowa potwornie bolała od uderzenia. Nawet nie miała chusteczki, by zatamować krwawienie, wszystko zostało w ukradzonej torebce. Na wpół oślepiąca szła zataczając się w kierunku parkingu. Minęła ją kilku przechodniów, ale ku jej zdumieniu żaden z nich nie zareagował widząc, w jakim jest stanie. Lars czekał oparty o maskę samochodu. Palil papierosa, lecz gdy tylko się pojawiła, rzucił go na ziemię.

- Na miłość boską, Saro, co się stało? - Wpatrywał się jak skamieniały w jej podartą sukienkę i zakrwawione nogi. - Tylko mi nie mów, że cię napadnięto!

Pokiwała głową wciąż sztywna z bólu i wrażenia. Wydał z siebie przeciągły szept - Jezu...

Usiadła na tylnym siedzeniu taksówki szczęśliwa, że ma przy sobie kogoś, na kim może polegać.

- Czy chcesz, żebym cię odwiózł do szpitala? To parę przecznic stąd - zapytał.

Potrząsnęła przecząco głową.

- Nie, dziękuję. Chciałabym wrócić do hotelu. Wszystko będzie dobrze, obiecuję.

Zakłopotany przyczesał swe jasne włosy, włożył kluczyk do stacyjki i wycofał samochód z miejsca postojowego. Wyraźnie czuł się winny.

- Powinienem przewidzieć, że coś takiego może się stać! Kobiety nie powinny chodzić same o tej porze, to zbyt ryzykowne, powinienem cię ostrzec. Bóg tylko wie, jak się teraz okropnie czuję.

- Nie bądź głupi - Sara próbowała się uśmiechnąć. - Chciałeś mi towarzyszyć. To ja nie wzięłam pod uwagę niebezpieczeństw, które mogą mi grozić. Nigdy, nawet w domu, nie przejmowałam się tymi historyjkami o napadach rabunkowych. Sądziłam raczej, że wymyśla się je, żeby nie upadły interesy agencji ochrony.

- Teraz już wiesz, jak to wygląda - skomentował krzywiąc się.

Sara oparła się o poduszki tylnego siedzenia i zamknęła oczy. Nawet nie miała lusterka, aby obejrzeć bolącą twarz. Delikatnie, końcami palców dotknęła opuchlizny rosnącej coraz szybciej na policzku. Zabierze ze sobą do Anglii raczej bolesną pamiątkę z Chicago.

Lars nie chciał wziąć pieniędzy za powrotny kurs do hotelu, chociaż Sara nalegała, zamierzając pożyczyć pieniądze z recepcji i poprosić o dopisanie ich do rachunku Kirka.

Gdy Sara opowiedziała o zdarzeniu recepcjonistce, ta okazała jej więcej współczucia, niż wynikałoby to z pełnionej przez nią funkcji. Jej jasnoszare oczy otworzyły się szerzej z wrażenia i Sara usłyszała:

- I co pani teraz o nas myśli, panno Phillips? Zawsze mówię, że gdy takie rzeczy przytrafiają się jednemu z naszych gości, odbija się to na nas wszystkich! -

przechyliła się przez kontuar, by lepiej przyjrzeć się siniakowi na policzku Sary, który nabierał teraz odcienia burgundzkiej czerwieni.

- O Boże, to wygląda bardzo źle! Czy jest pani pewna, że nie potrzebuje pani lekarza?

- Dziękuję, to naprawdę niepotrzebne - odpowiedziała z westchnieniem Sara. - Sądzę, że powinnam się teraz położyć i trochę pospać.

Lars odprowadził ją do windy. Gdy drzwi rozsunęły się bezszelestnie, uścisnęli sobie po przyjacielsku dłonie.

- Cieszę się, że cię poznałem - usłyszała. - Mam nadzieję, że reszta twojego pobytu w Chicago nie będzie podobna do tego wieczoru.

Sara pochyliła się i pod wpływem nagłego impulsu pocałowała go w policzek.

- Dzięki, Lars. Gdybym raz jeszcze miała przeżyć taką przygodę, nie mogłabym sobie wyobrazić kogoś bardziej pomocnego niż ty.

Chłopak oblał się aż po nasadę jasnych kędziorów głębokim rumieńcem i uśmiechnął się. Drzwi zasunęły się cicho i winda pomknęła w górę, na siódme piętro.

Gdy otwierała drzwi swojej sypialni, czuła pulsowanie w skroni. Pokój, który wcześniej wydawał się tak wygodny i gościnny, był teraz pusty i zimny. Pragnęła, by Kirk już wrócił. Automatycznie podeszła do drzwi łączących obydwie sypialnie i nacisnęła, kłamkę. Ku jej zdziwieniu drzwi się otworzyły.

Niepewnie weszła do środka, zamykając za sobą drzwi. Doznała uczucia ulgi, gdy ujrzała jego osobiste rzeczy rozrzucone na stoliku i łóżku.

Elektroniczny zegarek na nocnym stoliku wskazywał dwudziestą trzecią. "Powinien się wkrótce zjawić" - pomyślała. Usiadła z westchnieniem na skraju łóżka i podniosła porzuconą koszulę, którą miał na sobie podczas lotu. Wciąż nim pachniała. Głęboko wciągnęła w nozdrza ten zapach i przytuliła materiał do policzka, jakby chcąc uśmierzyć ból. Położyła się na plecach w poprzek łóżka, wciąż trzymając koszulę przy palącym siniaku. Zaledwie dotknęła głową poduszki, przenikliwy dźwięk telefonu zmusił ją do powstania. Czy to Kirk do niej dzwonił? Nie, to niemożliwe. Dlaczego miałby dzwonić do swego własnego pokoju?

- Halo... kto mówi? - zapytała zaciekawiona, podnosząc słuchawkę - Halo...

Usłyszała czyjś wyraźny oddech, potem słuchawka została odłożona i w słuchawce odezwał się wysoki przerywany sygnał. Przez moment wpatrywała się w trzymaną słuchawkę. Wreszcie drżącymi rękoma odłożyła ją na widelki. Wyszepiała: "Dolores". Chociaż żadne słowo nie padło, nie miała co do tego wątpliwości.

- O mój Boże, tylko nie to! - wyrzuciła z siebie, padając z powrotem na poduszki. - Dlaczego tutaj?

Czy nie może nas zostawić w spokoju? - Gorące łzy paliły jej oczy, lecz zacisnęła powieki zdecydowana je powstrzymać.

Nie pamiętała, kiedy zasnęła, ale gdy się obudziła, słoneczne promienie igrały na połączanej kopercie zegarka. Wskazówki pokazywały siódmą trzydzieści pięć. "To już ranek" - pomyślała. Nagle zdała sobie sprawę, że jest ubrana tylko w bieliznę. Z przerażeniem w oczach usiadła na łóżku. Jej sukienka leżała starannie złożona na poręczy łóżka. Wczoraj w nocy ktoś ją ułożył do snu i mógł to być tylko Kirk.

Ale gdzie był teraz? Leżała w jego pościeli, lecz po nim nie było śladu.

Jakby na zawołanie drzwi otworzyły się i spoza nich wyjrzał Kirk. Sara natychmiast podciągnęła koldrę aż do piersi.

- Obudziłaś się - powiedział z uśmiechem i podszedł do łóżka.



Musiał przed chwilą brać prysznic, gdyż jego włosy były mokre, a nogi bose.

Poprawił pasek od szlafroka. - Wczoraj w nocy, kiedy wróciłem, recepcjonistka wszystko mi opowiedziała... Saro, tak mi przykro!

Usiadł na brzegu łóżka i ujął jej dłoń. Patrzył na nią z troską w oczach.

- Niczym się nie martw. Zajmij się teraz swoim zdrowiem. Czy jesteś pewna, że nie potrzebujesz lekarza?

- Kirk, słowo honoru, że nie. Wszystko będzie dobrze. Najbardziej martwi mnie strata torebki.

- Czy był w niej twój paszport?

- Bogu dzięki, nie! Paszport zostawiłam w pokoju. Było tam tylko parę kosmetyków i pięćdziesiąt dolarów w czekach podróży. Na szczęście pozostałe чеки też zostawiłam w hotelu.

Kirk lekko się uśmiechnął.

- Masz więc szczęście w nieszczęściu. Oczywiście, gdy tylko usłyszałem o tym, co cię spotkało, zadzwoniłem na policję. Nie robią jednak większych nadziei na odzyskanie skradzionej własności. Takie rzeczy dzieją się tu codziennie, co parę minut.

Pokiwała głową i położyła się z powrotem na poduszkach.

- Rozumiem. A tak przy okazji, czy to ty mnie położyłeś do łóżka wczoraj w nocy?

Skinął głową, a w jego oczach pojawił się kpiący błysk.

- Nie pamiętasz?

- Zupełnie nic. Kiedy się obudziłam, byłam zszokowana.

- Czyli mogłem wykorzystać to, że śpisz, a ty nawet byś o tym nie wiedziała? Czy to miałaś na myśli? - zapytał pół żartem, pół serio. - Panno Phillips, czy wczoraj straciłem swoją wielką szansę?

- Te dwie pigułki nasenne, które otrzymałam od recepcjonistki nie były aż tak mocne - roześmiała się.

Gdy tak siedział mokry, ze zmierzwionymi włosami, było w nim coś chłopięcego.

Kiedy pochylił się nad Sarą, by zobaczyć, w jakim stanie jest jej twarz, poła szlafroka odchyliła się, ukazując czarne kręcone włosy porastające jego klatkę piersiową. Pachniał mydłem, szamponem, wodą po goleniu i sobą. Zapach ten oszołomił Sarę i nagle bardzo zapragnęła dotknąć tych kędzierzawych włosków.

- Nie jest tak źle, jak wygląda - powiedziała, gdy pokręcił głową na widok opuchlizny. - Bardziej martwię się o sukienkę.

Odwrócił się i podniósł delikatny materiał z poręczy łóżka. Jego palce odszukały długie prawie na trzydzieści centymetrów rozdarcie.

- To była piękna sukienka, Saro. Obiecuję, że przed wyjazdem kupię ci najpiękniejszą, jaką znajdziemy w Chicago. Co ty na to? - Ciemne oczy zabłyśły, gdy na nią spojrział.

- Och, naprawdę nie ma potrzeby. Ona właściwie nie była aż tak cenna - kłamała, żeby Kirk nie czuł się winny poniesionej przez nią straty. W rzeczywistości zapłaciła za suknię równowartość miesięcznej pensji i dlatego tak to przeżywała.

- Nie ma o czym mówić. Sprawi mi to ogromną przyjemność. Teraz musisz myśleć o swoim zdrowiu. Ja tymczasem pójdę na uniwersytet.

- To już dziś rano?

- Dokładnie za półtorej godziny. Muszę się spieszyć. Nie mogę obiecać, że wrócę przed piątą. Możliwe, że zatrzymają nas tam dłużej.

- W porządku. I nie martw się o mnie. Będę grzeczna i jeśli będę chciała wstać i wyjść, wezmę taksówkę, obiecuję.

- Dobra dziewczynka - pochylił się nad nią i cmoknął szybko w policzek tak, jak robią to starsi bracia, gdy żegnają się z siostrą.

Przez chwilę pragnęła go zatrzymać, przyciągnąć do siebie i zatracić się w wilgotnych, słodko pachnących objęciach Kirka. Zamiast tego uśmiechnęła się i powiedziała:

- Do widzenia, Kirk. Życzę ci powodzenia. Zamierzał już wyjść, lecz nagle wykrzyknął:

- Co ja wyprawiam?! Wszystkie moje rzeczy są tutaj! Nie będziesz miała nic przeciwko małemu striptizowi? Muszę się ubrać!

Zbita z tropu rozejrzała się dookoła.

- Nie, nie, nie przeszkadzaj sobie, po prostu nie będę patrzeć.

- Nie ma potrzeby - powiedział, odwiązując pasek i zrzucając z ramion szlafrok.

Opadł miękko na podłogę, a Kirk, podchodząc do otwartej walizki leżącej na podłodze, odsunął go stopą.

Był zwrócony do niej plecami. Patrzyła jak zahipnotyzowana na jego złotą i gładką skórę. Jej skronie z wrażenia pokryły się maleńkimi kropelkami potu. Miał niewiarygodnie szerokie ramiona i wąskie biodra, które przechodziły w najpotężniejsze uda, jakie kiedykolwiek widziała. Nogi, tak jak klatkę piersiową, porastały kędzierzawe, czarne włoski. Nigdy nie podobali jej się blondyni, teraz więc widok zarośniętej, mokrej, tak doskonale złotobrazowej skóry sprawił, że prawie przestała oddychać.

Pochylił się i naciągnął skape granatowe slipy. Ubierał się tak swobodnie, jakby w pokoju nikogo prócz niego nie było. Założył ciemnoniebieskie spodnie i bladobłękitną koszulę, którą uzupełnił granatowym krawatem z jedwabiu w czerwone prążki.

Następnie podszedł do szafy, wyjął ciemnogramatowy blezer, poprawił przy lustrze na drzwiach węzeł krawata i narzucił blezer na ramiona.

- No i jak, dobrze wyglądam?

Po raz pierwszy od paru minut zauważył jej obecność. Spojrzał na nią, rozbawiony wyrazem jej twarzy. Pokiwała wolno głową, nie mogąc wypowiedzieć ani słowa.

W chwilę później wziął z toaletki portfel, wsunął go do kieszeni, przesłał Sarze całusa i zniknął w drzwiach.

Przez chwilę wpatrywała się w zamknięte drzwi. Potem wciąż wilgotnymi rękoma odgarnęła włosy z czoła i głęboko westchnąwszy, rzuciła się na poduszki, chcąc ochłonać. Czy tego chciała, czy nie, ten mężczyzna robił na jej ogromne wrażenie. Jej gołe stopy wysunęły się spod kołdry i poszukały po omacku puszystej powierzchni dywanu. Wstała powoli i zdjęła swoją koronkową bieliznę.

Stała pod prysznicem czując, jak orzeźwiająca woda spływa po jej ciele i twarzy, zmywając brud i zaschlą krew. Pięć minut później była już w sypialni. Założyła jego bluzkę, częściowo przez lenistwo, bo nie chciało jej się iść do swojego pokoju po

koszulę nocną, a częściowo dlatego, że chciała mieć na sobie coś, co należało do niego.

Obok łóżka, na podłodze, leżało parę folderów i magazynów, które wybrała na czas lotu. Podniosła jeden z nich myśląc, że może znajdzie w środku jakieś ciekawe opowiadanie lub artykuł. Przerzuciła kilka stron i nagle poczuła, że jej powieki stają się coraz cięższe. Słowa zamazywały się i rozplywały w ciemne plamki. Magazyn wysunął się z rąk i łagodnie opadł na dywan. Zapadła w ciemność. Odprężona, oddychała płytko i regularnie. Miasto i jego gwar mogły poczekać, teraz chciała zostać w łóżku i snem odpędzić stresy i napięcia ostatnich dwudziestu czterech godzin.

Trzaśnięcie drzwi z trudem dotarło do jej świadomości. Oczy wciąż miała przymknięte i leżała wygodnie w łóżku.

- Kirk... Kirk... Czy to ty?

Świadoma tego, że ktoś jest w pokoju, z trudem wracała do rzeczywistości. Oczy wciąż miała zamknięte, gdy nagle ktoś gwałtownie zerwał z niej kołdrę. Na wpół naga, przerażona, budziła się niepewna, co się dzieje.

- Gdzie on jest?

Wpatrując się w zmienioną nienawiścią piękną twarz Dolores, Sara próbowała oprzeć się na poduszce. Początkowo nie rozpoznała jej w schludnym białoczerwono-granatowym uniformie Amerykańskich Linii Lotniczych. Piękne gęste włosy Meksykanki zostały ściągnięte w prosty kok.

- Odpowiedz, do diabła, gdzie jest Kirk!

- Jego... jego tutaj nie ma - wyszeptała Sara. - Czego chcesz?

- Czego ja chcę? - prawie sycząc wrzasnęła Dolores. - Nie rozśmieszaj mnie, ty mała dziwko. Powinnam wiedzieć, gdy wyjeżdżałam ze Szkocji, że znowu będziesz próbowała go uwieść! Intrygantka! - Jej oczy błyszczały teraz wściekle. - Czy spełnił twoje angielskie zachcianki? Powiedz mi, cnotko, czy mój kochanek był dość dobry dla ciebie?

Sara podniosła się na kolana, na próżno próbując okryć się kołdrą, gdy tymczasem rozwścieczona Dolores krążyła wokół niej jak żadna krwi lwica wokół swojej ofiary.

- Skąd się dowiedziałas, że tutaj jesteśmy? - cichutko zapytała Sara, okrywając nagie uda jedną z poduszek, jakby dla ochrony przed rozbieganymi oczami kobiety.

Usta Dolores wykrzywił grymas mściwego zadowolenia.

- A jak sądzisz? Zadzwoiłam do zamku, oczywiście. Pani McGregor podała mi adres hotelu. Gdy wczoraj w nocy zadzwoniłam tutaj, a ty odebrałaś słuchawkę, moje podejrzenia tylko się potwierdziły. Natychmiast zamieniłam się lotami z przyjaciółką i przyleciałam tutaj... niezwłocznie... Mój Boże!... Twój wygląd napawa mnie obrzydzeniem.

Schylila się i podniosła z ziemi porzucone majteczki i koronkowy stanik Sary. Z wyrazem wstrętu na twarzy trzymała je między palcami na odległość wyciągniętego ramienia. Powoli zwróciła się do ich właścicielki.

- Jak długo je zdejmowałaś, co? - wysyczała. Oniemiała z oburzenia Sara zadrżała.

Nie mogła wydobyć z siebie słowa. Gdy Dolores podeszła do okna, usta Sary otworzyły się, a ręka drgnęła mimowolnie. Meksykanka stanęła w otwartym oknie i

wyciągnęła rękę, w której trzymała dowody winy. Z wyrazem obrzydzenia na twarzy machnęła ręką i patrzyła tryumfalnie, jak dwa beżowe ptaki spadają w dół, ku ziemi. Otrzeпаła ręce i podeszła do łóżka.

- Nie miałaś żadnego prawa... Żadnego prawa, żeby tak postąpić - zaprotestowała Sara.

- I kto tu mówi o prawach? Czy miałaś prawo ukraść mi chłopaka, gdy tylko się odwróciłam?

- Ja go nie ukradłam - bezradnie westchnęła Sara. - Nie spodziewam się, że mi uwierzysz, ale nigdy nie kochałam się Kirkiem. Nigdy.

- Nie rozśmieszaj mnie swoimi bajeczkami - wyrzuciła z siebie Dolores. - Myślisz, że urwałam się z choinki, czy co? Najpierw próbujesz go uwieść, gdy ja śpię na plaży. Potem, za ledwie wyjechałam do Stanów, znajduję was w tym samym hotelu, a ciebie nagą w jego łóżku. I ty jeszcze śmiesz twierdzić, że się z nim nie kochałaś! Wolne żarty, cnotko. Nie rób ze mnie idiotki!

Sara pochyliliła głowę i ukryła ją w poduszce. W takiej sytuacji wszystko to wyglądało na szyte grubymi nićmi kłamstwo.

Naraz krzyknęła z bólu. To Dolores podeszła do łóżka i chwyciła ją za włosy, okręcając sobie jasne pasma wokół upierścienionych palców. Uchwyt stał się silniejszy i Sara musiała podnieść głowę, a potem bezradnie patrzeć w ciskające błyskawice ciemne oczy.

- Czy jesteś w nim zakochana?

- Nie, nie! - wyrzuciła z siebie Sara, nie mogąc nawet drgnąć w silnym uchwycie Meksykanki. Ku rozpaczy Sary gorące łzy zaczęły jej napływać do oczu.

- Co ci o nas powiedział? - zapytała Dolores. - Czy mówił ci, że mamy wziąć ślub, gdy tylko załatwi swoje rodzinne sprawy w Szkocji?

- Nie... Ja nie miałam o tym pojęcia. - Głos Sary był ledwie słyszalny. Zaszłochała, a duża gorąca łza potoczyła się jej po policzku.

Uścisk zelżał. Dłoń Dolores wyplątała się z włosów Sary. Meksykanka strzepnęła ją pogardliwym gestem i patrząc lekceważąco na Sarę, usadowiła się w nogach łóżka.

- Głupia! Czy naprawdę myślałaś, że mężczyzna taki jak Kirk Cameron mógłby spojrzeć na coś takiego jak ty? To był tylko krótki flirt przed założeniem rodziny z prawdziwą kobietą. Nawet go nie uwiodłaś, głupia, nawet nie uwiodłaś. To była tylko chwila seksu, gdy mnie nie było pod ręką. Musiał za to czekać i cena jednego dodatkowego pokoju w hotelu? Czy to fortuna? Na co liczyłaś? Czy myślałaś, że zabiera cię po to, by patrzeć cały czas w twoje duże zielone oczy?

Teraz łzy płynęły strumieniami po policzkach Sary. Jaka była głupia. Przecież Dolores ma rację. Czemu wcześniej nie zdała sobie z tego sprawy?

Dolores podniosła swoją szczupłą długą nogę w jasnoczerwonym skórzanym pantoflu na wysokim obcasie i oparła ją o ramę łóżka. Pomalowanym na szkarłatno paznokciem wygładziła prawie niedostrzegalną zmarszczkę na pończosze.

- Jeśli mi nie wierzysz - powiedziała chłodno - możesz zapytać któregoś z naszych przyjaciół w Los Angeles. Wszyscy mówią o naszym ślubie jako o jednym z najbardziej godnych uwagi wydarzeń nadchodzącego roku.

Sara potrząsnęła głową i popatrzyła zażalwionymi oczami.

- Wierzę ci... - wyrzuciła z siebie wśród łkań. - Proszę, nie mów już nic więcej...

Dolores postawiła z powrotem obie nogi na dywanie i wstała.

- Muszę teraz iść. Za dwie godziny mam lot, ale wrócę tu jutro. Powiedz kochasiowi, że bardzo mi przykro, iż go nie zastałam, ale odwiedzę to gniazdko miłości, gdy tylko samolot dotknie ziemi na lotnisku O'Hare!

Sara patrzyła w odrętwieniu, jak Dolores, kołysząc pełnymi biodrami opiętymi w granatową krótką spódniczkę, sunie ku drzwiom. Nim nacisnęła klamkę, odwróciła się i spojrzała na Sarę spod przymkniętych powiek ocienionych długimi rzęsami. Sara, prawie nic nie widząc przez łzy, siedziała na łóżku wstrząsana dreszczami. Dolores zwilżyła swoje błyszczące usta końcem języka i raz jeszcze popatrzyła na żalosalną, szlochającą postać.

- Doprawdy, jesteś godnym pożałowania stworzeniem - wysyczała, a potem odwróciła się i wyszła z pokoju.

Huk zatraskiwanych drzwi odbił się echem w ciszy pokoju. Sara nawet nie drgnęła. Dopiero teraz poczuła się gorzej, jej ciałem znów wstrząsnęły dreszcze. Po omacku dotarła do łazienki i pochyliła się nad umywalką. Zwymiotowała i powlokła się z powrotem do łóżka. Była całkiem wyczerpana.

Chciała stąd uciec dokądkolwiek, byle dalej od tego miejsca i tego mężczyzny. Mężczyzny, który ściągnął na nią takie nieszczęścia. Gdy wstała, jej nogi trzęsły się jeszcze. Niepewnie podeszła do okna. Przez uchyloną szybę do wnętrza pokoju dostawał się powiew zimnego powietrza. Poczula, że jej ciało pokrywa się gęsią skórka.

Spojrzała na bawełnianą koszulę okrywającą jej ramiona. Nagle zdała sobie sprawę, że materiał budzi, w niej odrazę. Już nie chciała, by dotykał jej skóry.

Gwałtownie, jednym szarpnięciem rozpięła koszulę. Jeden z guzików upadł na dywan. Potem, drżąc ze wstrętu, odrzuciła ją na nie zasłane łóżko.

"W walizce mam bieliznę na zmianę" - pomyślała. Powinna się przebrać i wydostać z tego okropnego miejsca. Uciec stąd, nieważne dokąd. Gdzieś, gdzie przeczeka spokojnie te parę godzin, które dzieliły ją od wyjazdu ze Stanów i rozstania na zawsze z Kirkiem Cameronem.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Sara siedziała przy toaletce i wpatrywała się w duże lustro stojące na stoliku. Oczy miała czerwone i opuchnięte od płaczu. Siniak na policzku mienił się wszystkimi kolorami tęczy. Sara wyjęła z torebki parę okularów przeciwsłonecznych i założyła je, starając się ukryć zmienioną twarz. Następnie grzebieniem szesała włosy na posiniaczoną część twarzy. Pod tak doskonałym kamuflażem, tylko najbardziej wścibska osoba mogłaby się dopatrzeć czegoś niezwykłego.

Popatrzyła ostatni raz na pokój, by upewnić się, że nic nie zostawiła. Wszystko było na swoim miejscu. Zostawiła sypialnię w takim stanie, w jakim ją zobaczyła, gdy weszła tu po raz pierwszy. Otworzyła torebkę, by sprawdzić, czy ma czekci i bilet powrotny. Gdy zobaczyła paszport i inne ważne dokumenty, westchnęła z ulgą.

Wszystko było w porządku. W skórzanym portfelu miała około stu dwudziestu do-

larów w czekach podróżnych. Nie było to dużo, ale wystarczy na opłacenie noclegu w hotelu o nieco niższym standardzie niż Belvedere. Chociaż nie chciała dłużej pozostawać w Chicago, nie miała wyboru. Wiedziała, że nie byłaby teraz w stanie znieść transatlantyckiego lotu.

Gdy zjeżdżała windą, zastanawiała się, czy nie zapłacić swojego rachunku w hotelu Belvedere. Jednak perspektywa spędzenia całej nocy w poczekalni lotniska O'Hare nie wydawała się jej nęcąca po ostatnich kłopotach. Zdecydowała, że musi poszukać sobie jakiegoś spokojnego miejsca, gdzie mogłaby odpocząć. Gdy dotarła do głównego foyer, poczuła ulgę. Przy kontuarze nie było nikogo. Mogła spokojnie zostawić klucz, nie podając recepcjonistce powodów wcześniejszego wyjazdu.

Rozejrzała się szybko wokół i podeszła do szklanych, szerokich drzwi, które automatycznie rozsunęły się przed nią. Gdy schodziła, pod główne wejście podjechała taksówka, z której wysiadła para starszych ludzi. Sara poczekała, aż pasażerowie uregulują rachunek i podeszła. Kierowca, pulchny Włoch z długim, tłustym kosmykiem zaczesanym na łysą czaszkę, popatrzył na nią pytająco.

- Chciałabym pojechać do innego hotelu. Czy jest gdzieś w pobliżu podobny, ale nie tak drogi jak ten?

Mężczyzna nadał pyzate policzki i gwizdnął z cicha przez szparę w zębach.

- Najlepszy byłby Sheridan.

Z przodu koszuli brakowało mu guzika. Przez szparę widać było zarośniętą skórę. Sara odwróciła oczy, gdy mężczyzna podrapał się żółtymi od nikotyny palcami po wystającym brzuchu.

- W porządku - powiedziała z ulgą zadowolona, że rozwiązała jeden problem.

Sheridan wznosił się w odległości około trzech bloków od hotelu Belvedere. Chociaż znajdował się niedaleko, nie miał podobnego standardu. Sara odczuła to od razu, spojrzawszy na wykładane plastikowymi płytami, a nie - polerowanym drewnem jak w hotelu Belvedere - ściany głównego holu. Sarze wydało się, że sztuczna okładzina sprawia, iż zielone rośliny w foyer nie wyglądają tak naturalnie.

Jej pokój był podobny do poprzedniego. Miał toaletkę i umywalkę. Brak było jedynie prysznicza. Otwarte żaluzje wpuszczały do pokoju szarawe światło pochmurnego dnia. Sara zdjęła buty, podeszła do okna i opuściła żaluzje.

W ogarniętym półmrokiem pokoju zdjęła bładozieloną sukienkę i żakiet. Powiesiła ubranie w szafie. Z westchnieniem ulgi padła na pościel o zgaszonym odcieniu różu. Pokój nie był tak ciepły jak ten, który opuściła przed godziną. Wpełzła pod kołdrę, zwinęła się w kłębek i zamknęła oczy.

Może zbyt wiele ostatnio przeszła, a może po prostu spała za długo, w każdym razie sen nie nadchodził. Słowa Dolores wciąż dźwięczały jej w uszach. Jak mogła być tak głupia? Jak mogła sądzić, że Kirk czuł do niej coś więcej niż pociąg fizyczny? Nie wniła go za to, co się między nimi stało, czy raczej -jeszcze nie stało. Był tylko człowiekiem i w dodatku mężczyzną. Po głębszym zastanowieniu doszła do wniosku, że jej fascynacja Kirkiem była widoczna dla wszystkich, nawet dla niego. Kto wie, może oskarżenia Dolores nie były tak całkiem pozbawione sensu. Gdyby nie wypadek, kto wie, co mogłoby się wydarzyć tego wieczoru? Dolores w pewien sposób

miała rację. Gdyby Kirk chciał ją wówczas naprawdę uwieść, czy zdołałaby się mu oprzeć? Była pewna, że nie.

Z jękiem rozpaczy obróciła się na plecy i wpatrywała w sufit. "Dlaczego nie powiedział mi, że zamierza się z nią ożenić?" Doskonale wiedziała, jak brzmi odpowiedź. Czyż mógłby liczyć na jej towarzystwo w drodze do Chicago, gdyby powiedział jej prawdę o Dolores? Z pewnością nie. Jak to określiła Dolores? "Krótki flirt" - słowa zabrzmiały w jej uszach, raniąc dotkliwie. Nie potrafiła już płakać, cicho narastała w niej złość.

- Niech cię diabli...! Niech cię diabli, Cameron! - wyszeptła porywczo, wbijając paznokcie w miękką materię pościeli.

Nagle poczuła tępy ból pod czaszką. Wiedziała, że jej organizm nie poradzi sobie sam z nadchodzącą migreną. Przechyliła się przez brzeg łóżka, wzięła swą torebkę z krzesła i wyjęła fiolkę aspiryny. Obok, na stoliku, stał dzbanek z wodą i odwrócona do góry dnem szklanka. Nalała sobie wody i połknęła dwie tabletki.

Po godzinie już spała. Sen był głęboki, lecz niespokojny. Męczyły ją koszmary. Stała w ogrodzie Ravenscraig. Była dziwnie ubrana. Zamiast swojej zwykłej sukienki do połowy łydki, miała na sobie długą białą suknię z przedziwnego, wspaniałego materiału spływającego w miękkich fałdach aż do ziemi. Jej długie, niesforne włosy zaplecione były w prosty warkocz, który opadał na plecy. Czoło zdobił wianek z dzikich kwiatów. W tym pięknym obrazie było jednak coś strasznego. Coś leżało na jej dłoni. Było wilgotne, gorące i pulsowało z rytmem jej oddechu. Zmusiła się, by spojrzeć. Na środku dłoni leżała żywa, pulsująca masa - jej serce przebite nożem. Ciepła krew buchała z rany, przeciekała przez palce Sary i spadała wielkimi kroplami na ziemię.

Przez chwilę spoglądała na krwawy strzęp. Później z jej gardła wydobył się ostry krzyk, przerywając ciszę panującą w przyciemnionym pokoju.

Usiadła na łóżku wyprostowana i z przerażeniem patrzyła na swe wyciągnięte ręce. Ogród i piękna biała sukienka zniknęły. Przez parę potwornych minut była tą nieszczęśliwą, małą kobietą z płaskorzeźby znajdującej się w zamku Ravenscraig. Ale krew, wciąż czuła krew! Jej ręce i cała pościel były mokre! W ciemności chwiejnie podeszła do okna i uchyliła żaluzje. Odwróciła się i spojrzała na łóżko. Krew zamieniła się w wodę. Spojrzała teraz na swoje ręce i roześmiała się histerycznie. Podczas snu musiała się gwałtownie poruszyć i rozlać resztę wody, która została w szklance.

Była już druga - pora obiadowa, ale Sara nie czuła głodu. Odwróciła kóldrę na drugą stronę, wilgotną powierzchnią do góry i z powrotem wślignęła się do łóżka.

Pomyślała, że jeśli zgłodnieje, zejdzie na kolację. Teraz chciała odpocząć.

Była godzina dziewiętnasta, gdy w końcu zdecydowała się opuścić pokój. Umyła się i włożyła prostą luźną sukienkę z cienkiej białej bawełny, której dekolt ozdobiony był delikatnym haftem ludowym. Materiał ułożył się miękko na jej smukłej sylwetce, gdy spięła suknię czarnym paskiem w talii. Zrobiła delikatny makijaż. Jedyne siniak na policzku, pamiątka po wczorajszym wypadku, został pokryty podwójną warstwą pudru i zasłonięty falą włosów.

Ponieważ nie czuła się na siłach chodzić w szpilkach, włożyła pantofle na niższym obcasie. Przespacerowała się po pokoju, spoglądając w duże lustro na ścianie. Jej twarz była wciąż blada, a zielone oczy wyglądały na bardzo duże i lśniły jakimś gorączkowym blaskiem. Nie chciała wyglądać tak blado, użyła więc ciemniejszej niż zwykle pomadki. Spojrzała znowu w lustro. Wydało jej się, że szminka jeszcze bardziej uwydatnia opadające ku dołowi kąciki ust.

- Uśmiechnij się... No, kochanie... - powiedziała do siebie cicho i kąciki powędrowały w górę, a w lustrze ujrzała niczym niezmacony, doskonały uśmiech. Z takim wyrazem twarzy zjechała windą do jadalni. Nie było stolików jednoosobowych, ale z ulgą dostrzegła na końcu sali jeden wolny, przeznaczony dla dwóch osób. Przeszła przez zatłoczoną salę i usiadła. Kelnerka właśnie nakrywała.

- Poproszę sałatkę z tuńczyka, lody i filiżankę czarnej kawy - zamówiła Sara. Kelnerka zapisała zamówienie i bez słowa zniknęła w kuchni. Sara wyprostowała się i westchnęła. Wciąż czuła zmęczenie, ale była już spokojniejsza. Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu poczuła nareszcie, że wszystko w jej życiu zależy tylko od niej. Zbyt duża dawka emocji doprowadziła ją niemal do kresu wytrzymałości nerwowej.

Spojrzała na rodzinę siedzącą o kilka stolików dalej. Młoda kobieta trzymała na kolanach małe dziecko. Karmiła je łyżeczką z własnego talerza, lecz dziecko zdawało się być o wiele bardziej zainteresowane wypluwaniem niż połykaniem. Małym paluszkami rozmazywało na tacy sos z ziemniakami i krzyczało z uciechy, gdy matka żartobliwie je besztala.

Po raz pierwszy od wielu godzin Sara uśmiechnęła się. "A więc są jeszcze normalni ludzie, którzy żyją normalnym życiem" - pomyślała. Prawie o tym zapomniała wśród zdarzeń ostatnich paru dni. Jej spojrzenie błędziło po zadowolonych twarzach osób siedzących przy stolikach. Atmosfera jadalni działała na nią wyjątkowo kojąco.

Zanim kelnerka wróciła z zamówioną sałatką, Sara odprężyła się i mogła przywitać dziewczynę uśmiechem.

- Dziękuję bardzo, wygląda doskonale.

- Mam nadzieję, że będzie pani smakowało. Biała sałata wyglądała na chrupiącą. Smakowała wyśmienicie. Po jednym małym kąsku Sara poczuła, że zaostrza się jej apetyt. Zaczęła jeść spokojnie i powoli, ulegając dawnemu szkolnemu zwyczajowi zostawiania tego co najlepsze, w tym przypadku tuńczyka, na koniec. Właśnie miała zjeść ostatni kawałek soczystej ryby, gdy nagle z głośnym brzękiem upuściła widelec na talerz. Głowy najbliższych sąsiadów odwróciły się w jej stronę. Poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy, czyniąc cerę jeszcze bledszą niż zwykle.

W drzwiach jadalni stał Kirk. Jego oczy metodycznie przeszukiwały pomieszczenie. Ujrawszy go, Sara poczuła, że całe jej ciało zamiera. Wciąż był ubrany w granatowy blezer i te same niebieskie spodnie, w których opuścił hotelowy pokój dziś rano. Wiatr zmierzwiał mu włosy i niesforne kosmyki opadały na brwi. Czoło przecinała mu pionowa zmarszczka. Wciąż się rozglądał.

Gdy jego spojrzenie zbliżyło się do miejsca, gdzie siedziała, szybko spuściła głowę. Jak zdołał ją odnaleźć?

Na adamaszkowy biały obrus padł cień.



- Cześć, Saro.

Powoli podniosła wzrok, ze ściśniętym gardłem odpowiedziała:

- Cześć, Kirk. - Jej głos był ledwie słyszalny. Mężczyzna odstawił krzesło i usiadł naprzeciwko niej.

- Co ty, do jasnej cholery, wyprawiasz? - Jego głos był szorstki, dłonie oparł o biały obrus. Wpatrywał się w nią przenikliwie.

- Co ja... Co ja robię? - Sara grała na zwłokę.

- Tak odejść... Co to ma znaczyć?

Jej ocienione długimi rzęsami oczy bezradnie rozglądały się po wytworknie urządzonym wnętrzu, jakby starając się znaleźć odpowiednią do miejsca odpowiedź.

- Ja... Ja naprawdę nie wiem.

- Kłamiesz! - słowa zostały wypowiedziane z gwałtownością, która ją zaskoczyła. - Kłamiesz, do jasnej cholery, kłamiesz!

Popatrzyła na niego.

- Nie chcę o tym mówić. Idź sobie. Zostaw mnie, proszę!

Wziął ją za rękę. Z początku próbowała ją wyrwać, ale uchwyt jego palców był silny.

- Saro, o co chodzi? Powiedz mi, przecież mam prawo wiedzieć!

- Prawo? - znów na niego spojrzała, ale tym razem uniosła brwi ze zdziwieniem. -

Jakie prawo?

Chłód, z jakim wypowiedziała te słowa zmieszał go. Nie był przygotowany na takie przyjęcie.

- Przepraszam. Może źle się wyraziłem. Chciałem powiedzieć, że muszę wiedzieć... proszę. Nic nie zostawiłaś, nawet kartki. Z trudem dowiedziałem się, gdzie jesteś.

- Nie musiałaś mnie szukać. Nie oczekiwałam, że znów cię zobaczę.

- Czy ty naprawdę myślałaś, że przyjdę do hotelu, , zobaczę, że cię tam nie ma i zapomnę o tobie? Wzruszę ramionami, jakby nic się nie stało? - Potrząsnął głową z niedowierzaniem.

- Kirk, posłuchaj - mówiła teraz do niego jak do dziecka. - Podjęłam decyzję, wyjeżdżam i nie widzę potrzeby wyjaśniania komukolwiek powodów mojej decyzji. Puścił jej rękę i wyciągnął z kieszeni marynarki paczkę papierosów. Wyjął jednego i zapalił.

- Czy ty naprawdę tak mnie nie lubisz? - zapytał w końcu, wydmuchując dym.

- Nie lubię... ciebie? - Sara popatrzyła na niego ze zdziwieniem. - Dlaczego? -

Bezskutecznie szukała w myślach słowa, które by go uspokoiło, zatrzymało potok nie kończących się pytań.

- Więc jeśli tak nie jest, powiedz mi, co zaszło podczas mojej nieobecności, co spowodowało, że podjęłaś decyzję opuszczenia mnie, Saro! Co się stało?

Wpatrywała się w jeden punkt na stole i gdy przemówiła, jej głos zabrzmiał bardzo cicho.

- Nigdy mi nie mówiłaś, że zamierzasz się zenić.

- Żenić! - prawie wykrzyczał to słowo. - Kto ci to powiedział? - Kiedy nie odpowiedziała, zrobił to za nią. - Dolores! Kiedy to było? Dzwoniła do Belvedere?

Sara nerwowo potrząsnęła głową, zmartwiona, że rozmowa przybiera taki obrót.

- Wolalabym nie rozmawiać na ten temat.

Ze złością zgasił niedopalek w popielniczce.

- Jeśli Dolores telefonowała i naopowiadała ci różnych bzdur, chcę o tym wiedzieć! Co ona ci właściwie powiedziała? Czemu uciekłaś?

- Mówiła, że mieliście wziąć ślub, to wszystko - odpowiedziała matowym głosem Sara, pragnąc zakończyć rozmowę.

- I to ciebie tak zmartwiło, że postanowiłaś uciec... - nie dowierzał jej słowom.

Poczuła, że zaczyna się czerwienić.

- Proszę cię, nie doszukuj się żadnych podtekstów - odparła chłodno.

Wpatrywał się w nią takim wzrokiem, że serce omal nie wyskoczyło jej z piersi.

- A gdybym ci powiedział, że kiedyś rzeczywiście rozważałem możliwość poślubienia Dolores, ale niedawno zmieniłem zdanie, czy to... czy to by miało dla ciebie jakieś znaczenie?

Bojąc się, że jej głos może się załamać, potrząsnęła tylko głową. Zapadła cisza.

Wpatrywała się w swoje dłonie pragnąc, by wreszcie odszedł. Czowała, że zbiera jej się na płacz, a myśl o rozplakaniu się tutaj, w jego obecności, wydawała się nie do zniesienia.

- Więc nie wrócisz ze mną? - zapytał.

Sara nie ośmieliła się spojrzeć mu w oczy, by wytrwać w swym postanowieniu.

- Nie, nie wrócę - wciąż wpatrywała się w swoje dłonie świadoma, że wzrok Kirka spoczął na jej pół przymkniętych powiekach, jakby chcąc ją zmusić, by jeszcze raz spojrzęła na niego. Wstał, odsuwając krzesło i powiedział:

- Cóż, to chyba wszystko. Pokiwała głową z oczami pełnymi łez.

- Do widzenia, Kirk.

Stał jeszcze chwilę, jakby chcąc coś powiedzieć, ale żadne słowo już nie padło.

Odwrócił się na pięcie i skierował ku wyjściu.

Sara popatrzyła za nim zapłakanymi oczami, a łzy zaczęły jej wolno spływać po policzkach. Podniosła ze stołu białą lnianą serwetkę i zaczęła osuszać oczy. Po chwili pojawiła się kelnerka i przyjrzała się jej ciekawie.

- Czy pani się dobrze czuje?

- Tak... tak, dziękuję - Sara pokiwała niecierpliwie głową, odsuwając pusty talerz po sałatce.

Kelnerka zabrała go, nie patrząc na zalaną łzami twarz Sary. Deser wyglądał kusząco, ale dziewczyna straciła apetyt. Westchnęła i odsunęła pucharek. Podniosła swoją torebkę i ruszyła ku drzwiom.

Prawie nic nie pamiętała z krótkiej drogi z jadalni do pokoju. Kiedy usiadła na skraju łóżka, ogarnęła ją rozpacz. Co ona najlepszego zrobiła? Właśnie kazała odejść jednemu człowiekowi na ziemi, któremu gotowa była oddać duszę i ciało. Przecież był dla niej wszystkim, choć tak bardzo starała się przekonać siebie samą, że to nieprawda. "Do diabła z moją głupią dumą!" Gdy przypomniwała sobie zdarzenia minionego dnia, w rozpaczycy zacisnęła pięści i uderzyła nimi w kolana.

"Krótki flirt". Próbowwała zapomnieć o raniących słowach Dolores, ale natrętnie powracały. Ile z tego było prawdą? Faktem była jej podróż z Kirkiem do Chicago, ale to jeszcze nie znaczy, że Dolores miała rację. Od pierwszej chwili, gdy zobaczyła

Kirka, czuła, że łączy ich coś nieuchwytnego, coś wspaniałego, co zdarza się tylko raz w życiu, jeśli ma się szczęście. Biochemik nazwałby to chemiczną reakcją w ludzkich gruczołach płciowych, kliniczna analiza potraktowałaby to zjawisko jako iskrę padającą na otaczające człowieka pole elektromagnetyczne, a zwykli ludzie nazwaliby to MIŁOŚCIĄ.

Miłość. Nawet myśl dotycząca tego uczucia napelniała ją rozkoszą. Wstała i podeszła do okna. Wieczorny dok na jezdniach zmniejszył się. Sara patrzyła na sunące ulicą samochody. Tam, na dole było tylu ludzi. Samo miasto liczyło trzy i pół miliona mieszkańców, a razem z okolicami prawie siedem. Ile takich miast jest na świecie? Ilu ludzi? A ona miała sobie wybrać jednego, jedyne człowieka spośród nieprzebranych milionów!

Z westchnieniem opuściła żaluzje i ciężko usiadła na taborecie przy toalecie. Twarz, która spoglądała na nią z lustra, była blada i zmęczona. Jedną połowę niemal zupełnie przesłaniały fale jasnych włosów. "Wyglądam jak Laura Bacall w jednym z filmów z Humphrey 'em Bogartem" - pomyślała uśmiechając się. Tyle że ona nie zjawiałaby się u boku Kirka na zawołanie. A może jednak? Nadal przypatrywała się lustrzanemu odbiciu. Na wspomnienie spojrzenia Kirka dreszcz przebiegł jej ciało... "Kiedyś rzeczywiście rozważyłem możliwość poślubienia Dolores, ale niedawno zmieniłem zdanie..." Tak powiedział. Co właściwie miał na myśli? Zmarszczyła lekko brwi i białymi zębami przygryzła dolną wargę. Cokolwiek to było, nie dała mu możliwości wyjaśnienia.

Wstała z taboretu i zaczęła nerwowo przemierzać pokój. Działała impulsywnie, ogarnięta paniką, nie dała mu właściwie dojść do słowa. Po chwili namysłu przyznała, że zachowała się wręcz niegrzecznie. Z jakiej strony by na to nie patrzeć, przybyła tutaj z nim i korzystała z jego gościnności oraz pieniędzy. Gdyby nawet Dolores miała rację, powinna przynajmniej wyjaśnić mu powody swego nagłego wyjazdu.

Jej oczy spoczęły na telefonie przy łóżku. "Powinien już być w pokoju" - pomyślała. Nie, nie będzie zachowywała się jak tchórz. Powie mu to prosto w oczy. Kirk zasługuje na to.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Gdy następnego ranka o godzinie dziesiątej Sara Phillips weszła do foyer hotelu Belvedere, rudowłosa recepcjonistka zmarszczyła brwi. Otworzyła usta, jakby chcąc coś powiedzieć, lecz po głębszym namyśle zrezygnowała i nieszczercze uśmiechnęła się do Sary, która szybkim krokiem szła w kierunku windy.

Gdy winda ruszyła w górę, z głośników popłynęły dźwięki starego przeboju Carpenterów. Sentymentalna melodia podziałała na Sarę kojąco. Wreszcie winda zatrzymała się na siódmym piętrze. Sara wzięła głęboki oddech i wyszła na zielony sznurowy dywan, który przykrywał podłogę.

Ich pokoje znajdowały się na końcu korytarza. Sara z ulgą zauważyła, że w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby obserwować niepewne kroki, jakimi zmierzała ku

drzwiom Kirka. Ściany działowe były dość cienkie i wyraźnie słyszała dźwięki dochodzące z pokoi.

Z początku pomyślała, że Kirk włączył zbyt głośno odbiornik telewizyjny. Potem z przerażeniem stwierdziła, że zna ten głos wzbijający się ponad histeryczne wrzaski kobiety.

- Nie możesz mi tego zrobić - mówił głos. - Nie taka była umowa.

- Umowa! - padła natychmiastowa odpowiedź. -

Umowa! To brzmi jak kontrakt w interesach! - krzyczała piskliwie kobieta.

- Czy to nie ty traktujesz nasz związek jak kontrakt? - głos chłostał jak bat i Sara nie mogła sobie wyobrazić spojrzenia mężczyzny. Nie miała wątpliwości, kto był drugim uczestnikiem rozmowy.

- Nie pozwolę, żeby ta mała się wtrącała. Teraz jesteś Dziedzicem, czy jak to zwa, i gdy sprzedasz wszystko, będziesz milionerem. Dlaczego ja nie mam skorzystać! Jego głos był zimny jak stal.

- Dlaczego...? Ponieważ nigdy nie żyłaś pod moim dachem jako moja żona... Ot, dlaczego. A choć czasem przelotnie myślałem o tym, żeby się z tobą ożenić, nigdy nie powiedziałem tego na głos.

- Dlaczego? Dlaczego nigdy mnie o to nie poprosiłeś? Wiedziałeś, co odpowiem!

- Wiedziałem, że zgodziłabyś się od razu, pomimo wszystkich swoich feministycznych zapędów i tych bzdur o zachowaniu wolności i indywidualności. Nie poprosiłem cię, bo ta myśl tylko parę razy przeleciała mi przez głowę i nigdy, nigdy nie została tam dłużej, gdyż tego nie chciałem.

- Ja wiem, czemu tam nie została dłużej - wrzasnęła Dolores. - To ta mała angielska flądra zawróciła ci w głowie. Wystarczyło, że zatrzepotała parę razy swoimi sztucznymi rzęsami i ty już nie mogłeś się oprzeć.

Sara zjeżyła się, bardziej zdenerwowana oskarżeniem jej o noszenie fałszywych rzęs niż obelgą.

Kirk musiał teraz chodzić po pokoju, bo słyszała go wyraźniej.

- Sara Phillips nie jest flądram, Dolores. I nie ma nic sztucznego w tej dziewczynie.

Nic, zupełnie nic!

- Ale to prawda, że wszystko zmieniło się, odkąd się pojawiła, czyż nie? - W jej głosie czuć było rozpacz.

Zapanowała cisza i Sara wstrzymała oddech. Stała teraz oparta plecami o framugę, ucho miała przytknięte do pomalowanego na zielono drewna. Kirk odpowiedział powoli i z namysłem:

- Nie mogę zaprzeczyć, że wszystko zmieniło się w Ravenscraig.

- Po przyjeździe tej dziewczyny - nalegała Dolores.

- W porządku, wszystko się zmieniło po przyjeździe Sary!

- I nie chcesz już mnie poślubić?

Kirk nie odpowiedział, a Sara wywnioskowała z odgłosów dochodzących z pokoju, że Dolores stała teraz przy nim i próbowała go do siebie tulić.

-I nie chcesz mnie poślubić teraz, gdy ją spotkałeś. Kirk, przyznaj się. Do diabła z tobą! Przyznaj się!

- Puść mnie! Ile razy mam ci to mówić? Nie chcę cię poślubić, Dolores, ani teraz, ani nigdy! - Za drzwiami ktoś głośno szlochał.

- Zakochałeś się w niej, prawda? Zakochałeś się!

Sara była przerażona. Nigdy nie myślała, że ma prawo go o to zapytać. Teraz także nie mogła czekać na odpowiedź. Nad windą paliła się literka "P" oznaczająca parter. Zanim winda by przyjechała, Sara musiałaby trochę poczekać. Minęła więc zamknięte drzwi i pobiegła w kierunku schodów.

Zanim dotarła do parteru, była zupełnie wyczerpana. Usiadła na miękkim fotelu obok windy. Postanowiła odpocząć chwilę, nim wezwie taksówkę i pojedzie do swego hotelu. Przechodzący obok, ubrany w drelichową koszulę i dżinsy, mężczyzna w jej wieku spojrzał na nią znacząco.

Jeszcze parę tygodni temu odpowiedziałaby mu promiennym uśmiechem, ale teraz miała wrażenie, że te beztrudne dni już dawno minęły.

Na drugim końcu foyer rudowłosa recepcjonistka obsługiwała właśnie mężczyznę w średnim wieku. Czy wiedziała, że Dolores jest w pokoju Kirka? Meksykanka była dobrze znana wśród personelu hotelowego i Sarze wydało się niemożliwe, by jej wejście nie zostało zauważone.

Wciąż rozmyślała o swej rywalce, gdy nagle drzwi windy otworzyły się i wyszła z nich Dolores. Wyglądała na wściekłą. Widocznie nadal była na służbie, gdyż miała na sobie ten sam uniform składający się z czerwonej czapeczki, białej bluzki i zgrabnej garsonki, a na ramieniu wisiała torba ze znakiem Amerykańskich Linii Lotniczych.

Sara zapragnęła skryć się w przepaścistym fotelu, gdy Dolores skierowała się ku recepcji. Gdy podchodziła do kontuaru, mężczyzna w średnim wieku właśnie ruszał ku windzie. Dolores znała widocznie recepcjonistkę, gdyż od razu zaczęły rozmowę. Sara poczuła, jak wilgotnieją jej dłonie, gdy rudowłosa rzuciła krótkie spojrzenie w jej kierunku. Czy powie Dolores o jej obecności? Wywołanie awantury w głównym foyer nie leży chyba w interesie hotelu. Na szczęście Dolores wciąż była odwrócona do niej plecami. Raz czy dwa zdawało się, że zwraca głowę w kierunku windy i wtedy Sara mocno ścisnęła poręcz fotela.

- Niech sobie idzie - szeptała. - Niech sobie idzie. - Oddychała płytko, jakby bojąc się, że to może przyciągnąć czyjaś uwagę. W końcu Dolores popatrzyła na zegarek, zamieniła jeszcze parę słów z dziewczyną i skierowała się ku głównemu wejściu. Czując wielką ulgę, Sara ukryła twarz w dłoniach.

Zupełnie wyczerpana napięciem siedziała jeszcze przez parę minut. Kiedy w końcu popatrzyła w kierunku recepcji, zobaczyła uważne spojrzenie rudowłosej skierowane na nią spoza złotych oprawek okularów. Nie miała wyboru, musiała przejść obok niej, chociaż wcale nie miała na to ochoty.

Naraz zauważyła, że do foyer wchodzi starsza para i kieruje się ku recepcji. Teraz miała szansę. Podniosła torebkę, wstała i ruszyła do wyjścia. Rozmyślnie unikała patrzenia w kierunku kontuaru. Jej serce zadrżało, gdy usłyszała swoje nazwisko.

- Panno Phillips, czy mogłaby pani chwilkę poczekać, proszę...

Sara odwróciła się napotkała spojrzenie rudowłosej. Chciała ruszyć dalej, ale dziewczyna dodała:

- Chciałabym zamienić z panią kilka słów, gdy obsłużę państwa O'Maley.

Sara pokiwała głową, próbując ukryć zdenerwowanie. Pani O'Maley uśmiechnęła się do niej zza okularów słonecznych o dziwnym kształcie.

- To nie będzie trwało zbyt długo, kochanie. Właśnie się zdecydowaliśmy zostać tutaj jeszcze jeden dzień. W mieście jest tyle do obejrzenia.

Sara skinęła głową, a starsza kobieta ciągnęła dalej:

- Jesteśmy z Royal Oak w Michigan. Zatrzymaliśmy się w Chicago, by zwiedzić miasto, nim udamy się do Cedar Rapids, do naszej córki. Czy pani pochodzi z tych stron?

- Nie, jestem z Londynu.

- Z Londynu, z Anglii? Ojciec, słyszałeś? - tu dźgnęła swojego męża w plecy paznokciem pomalowanym na bladofioletowy kolor. - Moja matka była Angielką. Z Wakefield. Czy słyszała pani o Wakefield?

- Nie, obawiam się, że nie - powiedziała Sara, uśmiechając się trochę sztucznie.

Pan O'Maley podał formularz recepcjonistce i wziął żonę za ramię. Gdy prowadził ją do windy, odwróciła się i krzyknęła:

- Mam nadzieję, że wkrótce się spotkamy, a jeśli nie, to proszę pozdrowić ode mnie Anglię!

Sara zwróciła się do młodej kobiety stojącej za kontuarem. Przez chwilę panowała cisza, wreszcie Sara odezwała się:

- Chciała pani ze mną mówić?

- Tak - dziewczyna oparła się o kontuar i obracała w palcach złote pióro. - Pani mieszkała z doktorem Cameronem.

Sara gwałtownie nabrała powietrza do płuc.

- Zajmowałam pokój obok - poprawiła rudowłosą.

- Tak, cóż... - kontynuowała recepcjonistka - Rzecz w tym, że jego dziewczyna jest w mieście i ostrzy teraz pazury. Ta sprawa jest dla mnie w pewien sposób krępująca. Dolores to moja przyjaciółka. - Jej paznokieć błędził teraz po rysach na politurze. Mówiąc unikała spojrzenia Sary. - Ale prawdę powiedziawszy, ta przyjaźń nie jest dla mnie tak ważna jak dobro hotelu.

- Co pani próbuje mi powiedzieć? - zapytała Sara niecierpliwie.

Dziewczyna wyglądała na zażenowaną.

- Sądziłam, widząc tu dziś panią, że miała pani zamiar porozmawiać z Dolores. Taka konfrontacja mogłaby się skończyć źle zarówno dla pani, jak i dla reszty gości...

- Proszę się nie martwić o mnie i o swoich gości - odpowiedziała słodko Sara. - Nie mam najmniejszego zamiaru doprowadzać, jak to pani określiła, do jakiejś konfrontacji z Dolores czy kimś innym. Teraz wychodzę i moja noga więcej tu nie postanie! Dziewczyna odetchnęła.

- W takim razie przepraszam, że panią zatrzymałam... Mam nadzieję, że dobrze wykorzysta pani ostatnie dni swojego pobytu w Chicago.

- Z pewnością, z pewnością - Sara odwróciła się do wyjścia. W stronę kontuaru kierowała się grupa mężczyzn wyglądających na biznesmenów. Schodząc po stopniach głównego wejścia pomyślała, że im szybciej się znajdzie na pokładzie samolotu, tym lepiej.

Wracając do swego hotelu, zastanawiała się nad wydarzeniami tego dnia. Po odejściu Dolores nie przyszło jej do głowy, iż mogłaby wejść na górę i porozmawiać z Kirkiem. To, co podsłuchała pod drzwiami, wprawiło ją w zakłopotanie i nagle poczuła, że boi się swoich uczuć.

Gdy stanęła w drzwiach swojego pokoju hotelowego, chłód wnętrza wydał się jej nie do zniesienia. Natychmiast zamknęła drzwi. Nie mogła przestać myśleć o tym, że za dwadzieścia cztery godziny wyjedzie stąd, na zawsze opuszczając Chicago i Kirka. Gdy zeszła na dół, bar był już otwarty. Młody człowiek siedzący na wysokim stołku przy kontuarze odwrócił się i patrzył na nią. Może wystarczyłby uśmiech, by zaprosił ją na drinka lub obiad, ale tego dnia nie była w nastroju do flirtu. Unikając jego wzroku, zamówiła schłodzony sok pomidorowy i przeniosła się do stolika. Był on na wpół zasłonięty przez ciężką aksamitną kotarę. To jej odpowiadało - mogła widzieć wchodzących i wychodzących, sama nie będąc widziana. Jak zawsze w porze obiadowej, w barze panował przytłumiony gwar, przerywany od czasu do czasu wybuchami śmiechu. Hałas wpływał na Sarę kojąco. Wiedziała, że powinna zadzwonić na lotnisko i zamówić bilet na jutro, ale nawet myśl o tym była nieprzyjemna.

Nie zauważyła, kiedy wszedł do baru. Stał w drzwiach i ujrzała go, gdy uniosła głowę znad szklanki czerwonego soku. Ich oczy spotkały się, a z jej ust wyrwał się okrzyk:

- Kirk!

Przez chwilę patrzyli na siebie. Ruszył ku niej wolno, przeciskając się pomiędzy zatłoczonymi stolikami. Poczowała, że z twarzy odpływa jej krew, a potem zaczerwieniła się. Stał przy jej stoliku i spojrzał na nią swym dziwnym spojrzeniem.

- Cześć, Saro.

- Cześć, Kirk - jej głos był zaledwie szeptem.

- Czy mogę usiąść?

Pokiwała twierdząco głową. Nie spuszczać z niej wzroku, odsunął krzesło i usiadł.

- Recepcjonistka z Belwedere powiedziała mi, że byłaś tam rano.

Sara głęboko wciągnęła powietrze. Nie spodziewała się tego.

- Pomyślałem, że chciałaś się ze mną zobaczyć, ale Dolores była szybsza.

Postanowiłem zaoszczędzić ci następnej podróży i oto jestem.

Popatrzyła na niego zakłopotana. Czoło Kirka przecięła zmarszczka.

- Zamierzałaś przyjść jeszcze raz, prawda? Sara bezradnie wzruszyła ramionami.

- Nie jestem pewna, Kirk... Może nie... Sama nie wiem, co o tym myśleć.

Zacisnął mocniej szczęki i popatrzył na swoje dłonie.

- Sądzę, że za dużo... a jednocześnie za mało, zostało powiedziane w ciągu ostatnich paru dni.

Wiedziała dokładnie, o co mu chodzi i pokiwała głową myśląc, co mogłoby się zdarzyć.

Ku jej zdumieniu wstał, odsuwając krzesło jedną ręką i spojrzał na nią.

- Wyjdźmy stąd.

Posłuchała go i opuścili bar. Gdy wyszli na ulicę, zaczął się rozglądać za taksówką. Zdezorientowana nie odezwała się ani słowem od chwili opuszczenia baru. Dopiero teraz zapytała słabym głosem:

- Dokąd jedziemy?

- Do najlepszego domu mody w okolicy - uśmiechnął się do niej trochę nerwowo.

Odwróciła się zaskoczona.

- Słucham?

- Czy nie obiecałem ci najpiękniejszej pod słońcem sukienki po twoim nieszczęśliwym wypadku?

Prawie zupełnie zapomniała o tamtym zdarzeniu i teraz patrzyła na niego zdziwiona.

- Nie ma potrzeby, ja już o tym zapomniałam.

- Ale ja nie. - Patrzył na nią poważnie, a ona, nie umiejąc wytrzymać tego spojrzenia, odwróciła wzrok.

Dziesięć minut później taksówka zatrzymała się przed sklepem Harper i Rows, a Sara spojrzała z podziwem na wielką, szklaną fasadę budynku. Kirk pomógł jej wysiąść i wejść po marmurowych stopniach.

Trzymając ją pod ramię, poprowadził ku windzie. Dobrze znał drogę i Sara była zadowolona, że ma tak wspaniałego przewodnika. Czuła się jak we śnie, jak w filmie puszczonym w zwolnionym tempie. Widziała przesuwane się obok postacie, ale nie robiły na niej żadnego wrażenia. A kiedy Kirk nacisnął guzik windy, nie popatrzyła nawet, na które jada piętro.

Ku jej zdziwieniu wysiedli na ostatnim, gdzie zalało ich morze bieli. Białe ściany, białe dywany - wszystko napawało ją zachwytem. Rozejrzała się wokół. Na wieszakach wisiały rzędy przepięknych długich białych sukien z satyny, tiulu, organdy, aksamitu. Jedna piękniejsza od drugiej.

- To są ślubne suknie... - powiedziała, potrząsając głową. - Musiałeś pomylić piętra. Zażenowana spojrzała na Kirka, ale on uśmiechnął się tylko i zaprzeczył.

- Nie, Saro.

- Ale to są suknie ślubne, Kirk.

- Czy nie obiecałem, że kupię ci najpiękniejszą suknię pod słońcem? A jeśli to ma być ślubna suknia, niech i tak będzie. - Znów się uśmiechnął, a jej serce zaczęło bic jak oszalałe.

- Czy to oświadczyny? - próbowała mówić spokojnym głosem. Nie mogła uwierzyć słowom, które wypowiedziała.

Ujął ją pod ramię.

- Saro, chodź. Usiądźmy. - powiedział łagodnie. Poprowadził ją do czerwonej pluszowej sofy.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. "To tylko sen - pomyślała Sara. - To tylko sen..."

Położył ręce na jej dłoniach i gładząc je delikatnie, zaczął mówić:

- Saro, proszę cię o rękę z miłością i całym szacunkiem, jaki mam dla ciebie. Chcę, byś została moją żoną. Chcę żyć dla ciebie i z tobą... kochać cię przez resztę mojego życia.



- Tutaj, w Chicago? - zapytała cichutko. - Czy będziemy mieszkali tutaj, gdy otrzymasz pracę na uniwersytecie? - Nagle to pytanie stało się dla niej bardzo ważne.

Opuścił wzrok na ich złączone dłonie i jego palce silniej ścisnęły jej rękę. Milczał przez chwilę.

- Odkąd cię spotkałem, Saro, myślałem o wielu rzeczach, o życiu... I dowiedziałem się dzięki tobie, co jest najważniejsze...

- Co jest dla ciebie najważniejsze, Kirk...? Powiedz mi... - szepnęła miękko.

Zatopił wzrok w jej zielonych oczach.

- Ty, Saro... i Ravenscraig. Chcę, byśmy razem wrócili do Szkocji. Zostań moją żoną. Miała wrażenie, że jej serce przestało bić. Wpatrzyła się w niego oczami błyszczącymi od łez szczęścia.

- Wolałbyś być dziedzicem Ravenscraig w odległej Szkocji, niż zostać w Stanach i uczyć w Chicago lub Los Angeles?

Odpowiedział drżącym ze wzruszenia głosem:

- Wolałbym być dziedzicem w dalekiej krainie, mając ciebie u boku, niż zostać tu ze złotem całego świata i utracić to, co dla mnie najważniejsze.

- Ja i Ravenscraig? - Jej oczy uśmiechały się do niego, a łzy wzruszenia biegły wolno po zaróżowionych ze szczęścia policzkach.

- Ty i Ravenscraig! - powtórzył cicho, delikatnie ocierając jej policzki.

- Doktorze Cameron, pańskie podejście do świata nareszcie stało się godne pochwały.

Znów się uśmiechnął tym samym figlarnym uśmiechem, co zwykle. Jednak tym razem nie mogła się oprzeć. Pochyliła się do przodu, ujęła jego głowę w obie dłonie i delikatnie przyciągnęła do siebie.

- Dzięki tobie - wyszeptał, nim spotkały się ich spragnione usta powiedziały to, co tak bardzo chcieli usłyszeć.